

BEZ WYJŚCIA.

POWIEŚCI DICKENSA I COLLINSA

(Przekład z angielskiego).

PRZEZ

St. B.

(Dokończenie).

AKT III.

W dolinie.

Było to już w połowie miesiąca lutego, kiedy Vendale z Obenreizerem puscili się w podróż. Zima była tęga a ztąd podróż wielce uciążliwą, tak że kiedy przyjechali do Strasburga, ogromne hotele tego miasta były prawie puste. Niewielka liczba podróżnych, których w tém mieście spotkali jadących w interesach handlu z Anglii i Paryża do środkowych kantonów Szwajcaryi, zwracała się z drogi.

Wiele kolei żelaznych które teraz ułatwiają podróż po Szwajcaryi, były wówczas prawie lub całkiem nie do użytku. Jedne nie były jeszcze zaczęte; inne niezupełnie wykończone. Na liniach już otwartych zdarzały się często przestrzenie dawniej drogi, na których komunikacya w porze zimowej często była przerywana; na innych znów zdarzało się miejsce nie zbyt pewne dla świeżej roboty, już to pod wpływem mrozu silnego, lub raptownej odwilży. Na komunikacyą wagonami po téj ostatniej linii nie było co liczyć w najgorszej porze roku, zależną była od pogody, lub

tęż zupełnie bywała zaniechaną przez całe miesiące uważane za najniebezpieczniejsze.

W Strasburgu pełno krążyło opowieści o trudnościach dalszej podróży, bo byli podróżni którzy je opowiadali. Wiele z nich było, jak zwykle, całkiem do prawdy niepodobnych; najmniej jednak fantastycznym dodawała cudownej barwy ta okoliczność, że wielu podróżników zwracało się z drogi.

Ponieważ jednak droga do Bazylei była otwarta, Vendale więc postanowił niewzruszenie jechać dalej. Naturalnie że postanowienie Vendala musiało być także postanowienie Obenreizera stojącego nad brzegiem przepaści; powinien był zginąć, lub zniszczyć dowód który wiozł z sobą Vendale, choćby nawet wraz życiem z tego ostatniego.

Takie było wzajemne względem siebie usposobienie podróżnych. Obenreizer, zagrożony zgubą z powodu szybkości działania Vendala i widząc jak z każdą godziną stawał się jęj bliższym dla energii Vendala, znienawidził go z całą zawziętością drapieżnego i nikczemnego zwierza. Od dawna już wrzała w jego piersi instynktowna przeciwko Vendalowi nienawiść; może z powodu zastarzałej nieprzyjaźni szlachty i chłopów; może dla otwartości jego charakteru; może z zazdrości że lepszej był powierzchowności; może z powodu wzajemności Margerity; może wreszcie z tych wszystkich powodów razem, z których dwa ostatnie nie były najmniejszymi. Teraz zaś oprócz tego, widział w nim ścigającego go strzelca. Przeciwnie Vendale, szlachetnie zwalczając pierwsze nieokreślone uczucie nieufności do Obenreizera, teraz bardziej niż kiedykolwiek nabierał doń przekonania. — On jest opiekunem Margerity. Jesteśmy z sobą w jak najprzyjaźniejszych stosunkach; jest dobrowolnym moim towarzyszem i nie ma żadnego interesu w dziele niu trudów tej nużącej podróży. Do tych motywów przemawiających za Obenreizerem, dodał traf jedną jeszcze okoliczność za przybyciem do Bazylei po dwa razy dłuższej aniżeli zwykle podróży.

Obiad zjedli późno i siedzieli samotnie w pokoju hotelu nad Renem, który w tém miejscu szczególnie był głęboki i szybko toczył wezbrane swe fale. Vendale spoczywał na łóżku, Obenreizer mierzył pokój szybkimi krokami; to się zatrzymywał przy oknie i przyglądał odbijającym się światłom miejskim w ciemnych wodach rzeki (a może myśląc:—

gdybym go mógł w nich zanurzyć—), to znów zaczynał chodzić z oczyma w ziemię utkwionemi.

— Gdzie go zrabuję, jeśli będę mógł to zrobić? Gdzie go zamorduję, jeśli uczynić to będę zmuszony?—Takie myśli nasuwał mu szum płynącej pod oknami rzeki.

— Ren huczy dziś tak dziko—rzekł uśmiechając się — jak dawny mój znajomy z lat dzieciennych wodospad, który matka moja pokazywała podróżnym (mówiłem już kiedyś panu o tém). Szum jego zmieniał się stosownie do pogody, tak jak szum wszystkich wodospadów i rzek w ogóle. Kiedy byłem uczniem u zegarmistrza, przypominam sobie jak nieraz w szumie tym wyróżniałem dokładnie słowa: — Kto ty jesteś, mały mój biedaku? — Czasem znów, kiedy szum był głuchy i ponury i od gór nadciągała burza, słyszałem najwyraźniej jak mówił do mnie swym szumem wodospad: Bum, bum, bum. Bij go, bij go, bij go! podobnie jak moja matka złośnica, jeżeli była rzeczywiście moją matką.

— Jeżeli nią była?—rzekł Vendale podnosząc się stopniowo i przybierając siedzącą pozycję.—Dlaczego mówisz pan: „jeżeli?”

— Alboż ja wiem co o mojem pochodzeniu?—odrzekł drugi niedbale opuściwszy ręce ku ziemi. Cóż pan chcesz? urodzenie moje tak niskie, jakże więc wiedzieć o tém mogę? Byłem bardzo młody, reszta mego rodzeństwa byli to już dorośli mężczyźni i kobiety, a moi tak zwani rodzice byli już starcami. Wszystko jest możliwe w takiem położeniu.

— Miałeś pan jakie wątpliwości co do swego pochodzenia?

— Powiedziałem to już panu, że wątpiłem czy rodzice moi żyli w małżeństwie—odparł rozkładając ręce, tak jakby odsuwał użyteczny mu przedmiot.—Nie pochodzę ze szlachejnej familii, mniejsza więc o kwestyą małżeństwa.

— Przynajmniej jesteś pan Szwajcarem—rzekł Vendale wodząc za nim oczyma.

— Jakże to wiedzieć mogę—odparł porywczo spoglądając przez ramię na Vendala.—Jeśli panu powiem: jesteś Anglikiem; zkąd to wiedzieć możesz?

— Mówiono mi o tém od dzieciństwa.

— A! i ja się znam w ten sposób.

— A także—dodał Vendale idąc za swemi myślami—mówią mi o tém moje dawne wspomnienia.

— I ja też mam podobne wspomnienia, jeżeli tylko zaspokoić mogą.

— Czy pana to nie zaspokaja?

— Zaspokajać musi. Niema nic równego w naszym małym światku tym dwom słowom: zaspokoić musi. Są to dwa krótkie wyrazy, silniejsze jednak aniżeli wszystkie dowodzenia.

— Pan urodziłeś się w tym samym co biedny Wilding roku. W jednym prawie byliście wieku—rzekł Vendale patrząc w zamyśleniu na przechadzającego się znowu Obenreizera.

— Tak jest, prawie w jednym.

Czy Obenreizer był tym zginionym człowiekiem. Czy w tak często przezeń wygłaszaném zdaniu o małości świata, nie leżało głębsze jakie znaczenie? Czy dlatego list przedstawiający go na agenta tak wkrótce nadszedł po zwierzeniach pani Goldstraw co do zabranego do Szwajcaryi dziecka, ponieważ on był tém dziecięciem na mężczyznę wyrosłym? W świecie gdzie tyle niezbadanych znajduje się tajemnic, zdarzyć się to mogło. Przypadek, czy też prawa opatrnościowe—nazwij je jak chcesz czytelniku—który zbliżył do siebie Vendala z Obenreizerem i połączył ich węzłem przyjaźni, niemniej były godne uwagi; w takim świetle badane przedstawiały się jako środki do popierania niezmiennych i rozumnych celów.

Rozbudzone myśli Vendala wzbiły się wysoko, podczas kiedy w zamyśleniu śledził wzrokiem przechadzającego się po pokoju Obenreizera, któremu fale rzeki w takt szeptały: „Gdzie go zrabuję, jeśli będę mógł? Gdzie go zamorduję, jeśli uczynić to będę zmuszony?” Nie prosty przypadek przypomniat Vendalowi tajemnicę zmarłego przyjaciela; po jego śmierci spowodowanej jej ciężarem, przejął go na siebie i czuł się w obowiązku iść za każdym śladem jakkolwiek niewyraźnym. Zapytał samego siebie, czy chciałby aby ten człowiek był prawdziwym Wildingiem? Nie. Jakkolwiek zwalczał nieufność swą do Obenreizera, niechętnie stawiał go w miejscu dawnego bez winy, wielomównego i łagodnego współnika. Zapytał siebie czy pragnąłby widzieć tego czło-

wieka bogatym? Nie. I tak już miał za wiele nad Margeritą władzy, a bogactwo zwiększyłoby ją jeszcze. Czy chciałby widzieć opiekunem Margerity tego człowieka, gdyby wiedział że nie jest żadnym dalekim jej nawet krewnym. Nie. Ale uwagi te nie powinny były stawać między nim a wiernością dla zmarłego przyjaciela. Tak myślał patrząc za przechadzającym się wciąż Obenreizerem, który wtedy nie zastanawiał się nad swym urodzeniem, lecz nad zadaniem gwałtownej śmierci drugiemu człowiekowi.

Droga oczekująca naszych podróżnych z Bazylei do Neuchâtelu była lepszą aniżeli ją sobie przedstawiano; poprawiła ją panująca ostatnia pogoda. Furmani i mulnicy, którzy powrócili tego wieczora, nie doniesli o żadnych trudnościach przeprawy, radząc tylko zaopatrzyć się w cierpliwość, zaprzęgi, koła, postronki i osie.

Wkrótce ugodzono powóz i konie do Neuchâtelu, które zabrać ich miały przed wschodem słońca.

— Zamykasz pan drzwi w nocy podróżując? — zapytał Obenreizer grzejąc ręce nad ogniem w pokoju Vendala przed udaniem się do siebie na spoczynek.

— Nie zamykam się wcale, sen bowiem mam mocny.

— To pan tak twardo śpisz? — odparł Obenreizer z uwielbieniem. Co za szczęśliwe usposobienie!

— Nie jest jednak dobrém dla spokoju całego domu — odrzekł Vendale — jeśli by chciano mię zbudzić stukając z zewnątrz do drzwi moich.

— I ja też — rzekł Obenreizer — zostawiam drzwi otwarte. Przyjmij pan jednak radę od Szwajcara obeznanego z obyczajami swjej ojczyzny: ile razy podróżować będziesz w tym kraju, chowaj zawsze papiery, a naturalnie i pieniądze pod poduszkę: zawsze w to samo miejsce.

— Nie pochlebiasz pan swoim ziomkom — roześmiał się Vendale.

— Moi ziomkowie są takimi jak większość ludzi — rzekł Obenreizer dotykając się lekko łokci Vendala jakby życząc dobrej nocy. Większość zaś ludzi bierze to co napotka. Do widzenia, o godzinie czwartej rano.

— Do widzenia o czwartej.

Zostawszy sam Vendale zgromadził na kupę rozrzucone po ognisku głównie, przysypał białym ze spalonego

drzewa popiołem i usiadł aby zebrać myśli. Zajęte one były ostatnim swoim przedmiotem, a szmer fal płynących przyczyniał się raczej do ich rozkołysania aniżeli uspokojenia. Tak rozmyślając pozbył się wszelkięj do snu ochoty; wiedział że bezużytecznie kładłby się, dlatego siedział przed kominkiem w ubraniu. Margerita, Wilding, Obenreizer, sprawa dla której jechał i tysiące nadziei i wątpliwości niemających z niemi nic wspólnego zajęły naraz jego umysł. Wszystko go zajmowało oprócz chęci snu, który daleko od jego powiek uleciał.

Kiedy tak siedział przed ogniskiem pogrążony w dumaniach, dopaliła się świeca w lichtarzu; małej to jednak było wagi, ogień bowiem kominka dosyć na pokój dostarczał światła. Zmienił swoją pozycyą i oparłszy rękę o grzbiet krzesła położył na niej głowę i myślał dalej.

Siedział pomiędzy ogniem a łóżkiem, tak że cień jego padał na białą po nad łóżkiem ścianę. Postać jego zdawała się być żałobnym nad łóżkiem pochylonym cieniem; a kiedy się weń wpatrzył, wyobraźnia rozgorączkowana upatrywać mu w tym cieniu kazała cień zmarłego Wildinga.

Cień ten zniknąłby za zmianą miejsca; tak też uczynił i widmo go trapiące znikło rzeczywiście. Siedział teraz w cieniu jaki rzucał na pokój róg kominka i miał drzwi przed sobą.

Drzwi te opatrzone były ciężką żelazną klamką. Widział jak klamka powoli i cicho się podniosła. Drzwi się uchyliły i znów przymknęły: jak gdyby tylko wiatr niemi poruszył. Widział jednak że klamka nie zamknęła się i pozostała na skoblu.

Znów się drzwi uchyliły, a tym razem dosyć szeroko, aby się w nich osoba zmieścić mogła. Przez chwilę tak pozostały, trzymane z zewnątrz ostrożnie. Nareszcie ukazała się postać jakaś twarzą zwrócona ku łóżku, i zatrzymała na progu.

Postępując krok naprzód postać w cichym półszepcie zawołała: „Vendale”.

— Co takiego — odrzekł zrywając się z krzesła — kto mię woła?

Był to Obenreizer, który krzyknął na widok Vendala zbliżającego się doń z innéj aniżeli się spodziewał strony.

—Jeszcze nie w łóżku?—rzekł chwytając go za ramiona z instynktowném pragnieniem walki. „Coś więc złego się stało?“

— O czém pan myślisz?—rzekł Vendale uwalniając się z rąk jego.

— Powiedz mi pan najprzód, czy nie jesteś słaby?

— Słaby? nie.

— Miałem przykry sen o panu. Jakżeż się dzieje, że pana widzę jeszcze ubranym i nie w łóżku?

— Mógłbym się również ciebie zapytać kochany panie, dlaczego widzę pana na nogach i nierozebranym.

— Powiedziałem już panu dlaczego. Miałem przykry sen o panu; usiłowałem zasnąć potém, lecz napróżno. Nie mogłem zmusić się do spoczynku, niedowiedziawszy się czy pan nie jesteś w niebezpieczeństwie; a jednak nie mogłem się odważyć wejść tutaj i dla tego wahałem się chwil kilka podedrzwiami. Łatwo się śmiać ze snu którego się nie doświadczyło, panie Vendale. Gdzież pańska świeca?

— Wypaliła się.

— Mam całą świecę w moim pokoju. Czy mam ją przynieść?

— Dobrze.

— Pokój jego nie był odległym, wrócił w parę sekund ze świecą i ukląkł przed ogniskiem aby ją zapalić. Kiedy rozdmuchiwał ogień chcąc zapalić kawałek papieru, spostrzegł Vendale błądłość nadzwyczajną jego ust, niezupełnie woli jego posłusznych.

— Tak—rzekł Obenreizer stawiając świecę na stole—miałem przykry bardzo sen. Przypatrz mi się pan tylko!

Nogi jego były bose; czerwona flanelowa koszula rozpięta była na szyi, a rękawy do łokci zawinięte; oprócz tego miał tylko na sobie obcisłe do kostek sięgające pantaliony; twarz jego nosiła dziki jakiś wyraz, a oczy błyszczały mocno.

— Wrazie bójki z rabusiem, jak mi się śniło, widzisz pan że byłbym do niej stosownie przybrany—rzekł Obenreizer.

— I uzbrojony także—rzekł Vendale patrząc na jego pas.

— Sztylet podróżny który zawsze noszę z sobą—odparł z niechcenia, wyciągając go do połowy lewą ręką

i wsadzając znów do pochwy.—Nie nosisz pan nic podobnego?

— Nic wcale.

— Ani pistoletów—rzekł Obenreizer spoglądając na stół, a ztamtąd na nietknięte poduszki.

— Nic podobnego.

— Wy Anglicy tak jesteście w sobie zaufani. Chcesz pan spać?

Oddawna pragnąłem zasnąć, ale daremnie.

— I ja téż, po owym śnie przykrym. Z moim ogniem stało się to co z pańską świecą. Mogę tu zostać przy panu? Druga godzina! Wkrótce będzie czwarta, tak że nie warto już kłaść się znowu do łóżka.

— Nie myślę wcale kłaść się teraz spać—rzekł Vendale—usiądź pan i dotrzymujmy sobie towarzystwa.

Obenreizer poszedł do siebie aby się ubrać i wkrótce wrócił przybrany w obszerny szlafrok i pantofle i usiadł po drugiej stronie ogniska. W trakcie tego Vendale dołożył dREW na kominku, a Obenreizer postawił na stole przyniesioną z sobą flaszkę i kieliszek.

— Prosta szynkowna wódka tam do diabła, — rzekł wychyliwszy kieliszek; —kupiona na drodze i nie przypomina pańskiej z Cripple Corner. Zimna noc, zimna pora nocna nad ranem, zimny kraj i dom zimny. Lepszy rydz jak nie, napij się i téj wódki choć trochę.

Vendale wziął kieliszek i zrobił jak mu radzono.

— Jakże ją pan znajdujesz?

— Ma smak prostéj wódki, — rzekł Vendale lekko się wstrząsnąwszy i oddając kieliszek, — a takiéj wódki znosić nie mogę.

— Masz pan słuszność, — rzekł Obenreizer smakując; — *ma* w rzeczy saméj smak nieprzyjemny, i *mnie* także nie smakuje wcale. Oh! jakże pali! — Resztkę wódki wylał z kieliszka na ogień.

Obydwa oparli się łokciami o stół, położyli głowy na dłoniach i siedzieli patrząc na płonące drzewo. Obenreizer pozostał czujnym i spokojnym, Vendale przeciwnie niepokojony nerwowemi kurczami i drganiem, wśród których zerwał się nawet na nogi i dziko w około obejrzał, zapadł wkrótce w niespokojny i burzliwy sen. Papiery swoje miał

schowane w skórzanéj torebce czy portfelu umieszczonym na piersiach w wewnętrznej kieszeni surduta, zapiętego na wszystkie guziki; wśród sennych marzeń coś niepokoiło go i wołało nań z tych papierów aby się przebudził, ale on tego uczynić nie mógł. Śniło mu się, że noc go zaskoczyła w stepach rossyjskich jadącego z Margeritą, a mimo to czuł dotknięcie ręki, która przesuwawała się po jego piersiach szukając portfelu z papierami. Śniło mu się znowu, że jako rozbitek na małym czółenku na pełnym znajdował się morzu, stracił całe swe ubranie i okrywał się tylko starym jakimś żaglem; a jednak dotknięcia ręki przesuwającej się po innych kieszeniach ubrania, jakie rzeczywiście miał na sobie w poszukiwaniu papierów, ostrzegało go aby się zbudził.

Śniło mu się jeszcze, że znajdował się w podziemiach w Cripple Corner i że stało tam przeniesione z hotelu w Bazylii łóżko; a Wilding (nie umarły, jak myślał, czemu się mimo to nie bardzo dziwił) pociągnął go za rękę i szepnął: „Spójrz na tego człowieka! Czyż nie widzisz że wstał i przewraca poduszki? Po cóżby przewracał poduszki, jeśli nie dla zabrania papierów, które masz na piersiach? Zbudź się!” A on spał mimo to wszystko i wpadał w coraz nowe sny.

Towarzysz jego siedzący cicho i czuwający ciągle, zawołał nań wreszcie: „Vendale! wołają nas. Już po czwartéj!” Vendale otworzył oczy i zobaczył skierowany na siebie mglisty wzrok Obenreizera.

— Spałeś pan twardo, — rzekł, — pod wpływem podróży i zimna!

— Rozbudziłem się już teraz na dobre, — zawołał zrywając się Vendale, lecz chwając się jeszcze. — Czy nie spałeś pan całkiem?

— Może być że m się i zdrzemnął, zdaje mi się jednak, że przez cały czas patrzałem w ogień. W każdym razie musimy się umyć, zjeść śniadanie i ruszać w drogę. Już po czwartéj, Vendalu! już po czwartéj!

Powiedział to tonem zdolnym do przebudzenia Vendala, który znów zasypiał. Czyniąc przygotowania do wyjazdu i przy śniadaniu, spał nieraz, machinalnie się tylko poruszając. Dopiero gdy skończył się ponury dzień zimowy, zaczął przypominać sobie brzęk dzwonek, okropny czas zimowy, ślizgające się konie, groźne szczyty gór, posępne la-

sy i niejednokrotne zatrzymywania się w jakiej przydrożnej oberży, gdzie do gościnnej izby przechodzić trzeba było przez oborę krów pełną. Mało co więcej nad te okoliczności przypominał sobie z wyjątkiem téj, że Obenreizer siedział przy nim zamyślony przez dzień cały i bacznie mu się przypatrywał.

Kiedy się jednak ocknął z tego odrętwienia, Obenreizera nie było już przy nim. Powóz zajechał na popas do jakiejś austeryi; zatrzymał się tu również cały szereg długich a wązkich wozów, naładowanych beczkami wina, a ciągniomych przez konie z mnóstwem niebieskich na szyjach obroży i przystrojonemi oryginalnie łbami. Jechały one z téj saméj co i nasi podróżni strony, a Obenreizer (już nie zamyślony ale wesoły i rześki) rozmawiał z jadącym na przodzie furmanem. Kiedy Vendale wyciągnął zdrtwiałe swe członki dla przywrócenia cyrkulacyi krwi, i pozbył się letargicznej ospałości biegnąc szybko tu i owdzie po orzeźwiającém powietrzu, szereg wozów poruszył się dalej w drogę i wszyscy furmani przechodząc koło Obenreizera ukłonem go zegnali.

— Cóż to są za jedni? — zapytał Vendale.

— Są to furmani Defresniera i Sp., wiozą nasze wino w beczkach, — odrzekł Obenreizer pośpiewując wesoło i zapalając cygaro.

— Byłem wcale nie zabawnym towarzyszem przez dzień cały, — rzekł Vendale. — Nie wiem zupełnie co się ze mną działo.

— Nie spałeś pan zupełnie przeszłej nocy, a nadto silny mróz sprowadza zwykle mocne uderzenia do głowy, — rzekł Obenreizer. — Widziałem nieraz już takie zdarzenia. Ale co najgorsza, to o ile mi się zdaje podróż nasza na nic się nie przyda.

— Jakto na nic?

— Dom handlowy jest obecnie w Medyolanie. Wiesz pan zapewne, że mamy dom handlujący winem w Neuchâtel, a jedwabiem w Medyolanie? Ponieważ w tym czasie pilniejsze były zajęcia przy jedwabiu, aniżeli przy winie, wezwano więc Defresniera do Medyolanu. Po jego wyjeździe, drugi wspólnik Rolland zachorował tak niebezpiecznie, że lekarze nie pozwalają widzieć się z nim nikomu. List opisujący to wszystko, czeka na pana w Neuchâtel, — a dowiedziałem się

o tém od naszych furmanów. Cóż pan teraz przedsięwzemiesz? Czy się wrócimy?

— Jedźmy dalej—rzekł Vendale.

— Dalej?

— Czy dalej? no tak: przez Alpy i do Medyolanu.

Obenreizer wyjął z ust cygaro, spojrzął się na Vendalę, zakrył się znów kłębam dymu, spojrzął na drogę wijącą się przed nim, obejrzał się na już przebytą, przypatrywał leżącym przydrożnym kamieniom, i nic nie rzekł.

— Mam na głowie ważną bardzo sprawę,—rzekł Vendale—nie jeden z tych zaginionych wzorów na kwity może być na zły, lub gorszy jeszcze obrócony użytek. Naglą mnie abym nie zwlekał w dopomożeniu domowi handlowemu do schwytania złoczyńcy; nic mnie przeto z drogi méj nie zwróci.

— Czy tak?—zawołał Obenreizer wyjmując z ust cygaro, aby się roześmiać i podając towarzyszowi rękę.— A więc i *mnie* nic z drogi nie zwróci. Hola furmanie! Spiesz się! prędkiej tam! Ruszaj!

Jechali noc całą. Śnieg napadał spory, a potem nastąpiła odwilż, tak że dla ciężkości drogi zmuszeni byli jechać po większej części noga za nogą i często się zatrzymywać dla wytechnienia zadyszanym i grzęznącym co chwila w śniegu koniom. W godzinę po wschodzie słońca, stanęli przed bramą hotelową w Neuchâtel, straciwszy około dwudziestu ośmiu godzin na przebycie ośmiu blisko mil angielskich.

Posiliwszy się i przebrawszy naprędce, poszli razem do domu handlowego Defresnier i Sp. Tam znaleźli list, o którym wspominał furman wiozący wino, zawierający próby i porównania charakterów i pism niezbędnych do wykrycia oszusta. Ponieważ Vendale niezmiennie postanowił jechać natychmiast dalej, zastanowić się jedynie należało nad wyborem miejsca do przeprawienia się przez Alpy. Przewodnicy i mulnicy różnili się bardzo w przedstawianiu stanu drogi przez górę Ś-go Gotarda i Simplon; obiedwie zaś przeprawy dość były odległe, aby odjąć podróżnym możność korzystania ze świeżych doświadczeń innych podróżujących na jednej lub drugiej. Oprócz tego wiedzieli dobrze, że obsunięcie się śniegów zmienić mogło w jedną godzinę położenie rzeczy, chociażby ono poprzednio dokładnie zbadane było.

Uważając jednak drogę przez Simplon za bezpieczniejszą, zdecydował się Vendale wybrać tę ostatnią. Obenreizer wcale się nie mieszał do rozpraw i nie wiele mówił.

Jechali więc na Genewę, Luizannę, wzdłuż równego brzegu jeziora do Veray, przez krętą dolinę idącą pomiędzy podnóżami gór i przez dolinę Rodanu. Turkot kół powozowych rozlegający się dniem i nocą po okolicznych górach, wydawał się jakby chód kółek w zegarze wieżowym przypominający godziny. Mróz silny który zaraz w początku chwycił trwał już przez całą drogę. Na ciemno żółtém tle niebios ujrzeli wierzchołki Alp; napatrzyli się tyle rażącej białości śniegów pokrywających niższe szczyty i skłony gór, że olśnionemu ich wzrokowi wszystko inne: błyszczące jeziora zwierciadła, przejrzyste wodospadów i strumieni wody, wydawały się jakby brudne i bezbarwne. Przez całą jednak drogę, ni odrobina śniegu nie upadła. Tylko biała mgła opuszczająca się w dolinach, zmieniająca się na ich włosach i futrze w drobne, śpiczaste sopłe lodu, wyróżniała nieco otaczający krajobraz od ponurego nieba. I ciągle, dniem i nocą turkotały koła, a turkot ten był innego jak szum Renu znaczenia, mówił bowiem: „Minęła już sposobna pora do zrabowania go, i teraz muszę go zamordować.”

Przybyli nareszcie do Brieg małej, biednej miejsciny u stóp już Simplonu. Przyjechali już o zmroku, dosyć jednak wcześniej aby zobaczyć, jak karłowato wyglądają ludzie i ich dzieła w pośród gór niebotycznych. Tu zanoćować trzeba było; było tu ciepło od rozpalonego na kominie ognia, było światło, obiad, wino i potem głośnie z przewodnikami i mułnikami rozmowy i narady. Od czterech dni żadne ludzkie stworzenie nie przeszło góry. Śnieg po za linią śnieżną za miękki był na koła, a nie dosyć twardy dla sani. Obłoki pełne były śniegu już od dni kilku; dziwném było, że nie spadł dotychczas, a że upaść wkrótce musi tego byli pewni wszyscy. O powozie i myśleć nie można było. Możliwyby jechać mułami lub iść pieszo; najlepszych jednak przewodników zapłaciłoby trzeba sowiecie za narażanie życia i to nawet w razie gdyby im się przeprowadzić na drugą stronę gór nie dało, i zwrócić się z drogi byli zmuszeni.

W rozprawach tych Obenreizer żadnego nie brał udziału. Siedział przy ogniu paląc cygaro w milczeniu, dopóki

się izba nie opróżniła z ludzi i Vendale nie przemówił do niego.

— A! zmęczyła mnie już ta chałastra, i ich przemysł—rzekł w odpowiedzi.—Zawsze ta sama historia. Jest to historia ich przemysłu dzisiaj, jak była i wtedy kiedyś był obdartym chłopcem. Czegóż chcemy i potrzebujemy? Potrzeba każdemu z nas torby i okutego długiego kija. Nie potrzebujemy przewodników; my byśmy prowadzili go, a nie on nas. Zostawimy tu nasze tłumaczki i przeprawimy się razem. Byliśmy już kiedyś razem w górach, a ja jestem w górach urodzony i znam to przejście—przejście!—raczej gościniec!—doskonale. Niech się te biedaki na innych podróżnych odbijają; ale niech nam czasu nie zabierają dla swego zarobku. Chcieli na nas zarobić i to wszystko.

Vendale, rad z ukończenia się dysputy, a przedewszystkiem odważny, ryzykujący, skłonny do pójścia naprzód, a ztąd chętnie idący za ostatnią radą, przystał ochotczo. W ciągu dwóch godzin kupili wszystko co im było do drogi potrzebne, naładowali torby podróżne i położyli się spać.

O świcie, zobaczyli połowę ludności miasteczka, która wyległa na wąską przyległą uliczkę, aby ich widzieć wychodzących. Lud rozmawiał w gromadkach, przewodnicy i furmani szeptali na stronie, przypatrując się obłokom; nikt im nie życzył szczęśliwej podróży.

Kiedy zaczęli wchodzić na góry, promień słońca błysnął na zachmurzonym niebie i posrebrzył na chwilę cynowe dachy miejskich wieżyczek.

— Dobra wróżba, — rzekł Vendale (chociaż znikło słońce podczas gdy mówił). — Może przykład nasz zachęci innych do przeprawienia się przez góry.

— O nie! nikt za nami nie pójdzie — odparł Obenreizer spoglądając w niebo i na dolinę: — tam w górze sami tylko będziemy.

W g ó r a c h.

Dla przyzwyczajonych do pieszej podróży droga wcale była dobrą, a w miarę jak szli coraz wyżej, powietrze stawało się czystsze i oddech lżejszy. Ale rozproszona wszędzie

ponurość nie ustępowała! Zdawało się, że przyroda zatrzymała się w odwiecznym swoim procesie. Zmysł słuchu, zarówno jak i zmysł wzroku znížony był oczekiwaniem tak długo na spodziewaną zmianę. Milczenie i cichość w około tak były, powiedzieć można, dotykalne i ciężkie, jak nízko opuszczone chmury, a raczej chmura, bo jedna tylko zdawała się być na całej niebios przestrzeni, i pokrywać je jednostajnym całunem.

Chociaż światło tak było przyćmione, to jednak nie tępowało oczom widoku. Tam na dole po za niemi w dolinie Rodanu, widać było jak na dłoni liczne zakręty rzeki w ołowianej barwy wodach. Wysoko po nad niemi lodownice (gleczery) i zwieszane a w każdej chwili grożące upadkiem masy śniegowe (*avalanche*) okalały drogę, którą krok za krokiem postępować musieli; pod ich stopami huczały w głębokich i ciemnych przepaściach górskie strumienie; groźne szczyty gór otaczały zewsząd widnokrąg. Olbrzymi krajobraz, nie ożywiony chwilowém choćby światłem lub samotnym słońca promieniem, wspaniałym i strasznym był w swęj dzikości. Zadrżałyby nieco serca tych dwóch samotnych ludzi, gdyby im przyszło torować sobie drogę długą na milę i godziny, wśród legionu milczących i bez ruchu ludzi, ludzi takich jak oni, przypatrujących im się z groźném i zmarszczoném czołem. Ale o ile więcejby zadrżeli, gdy legion ów zpotężnych złożony zjawisk natury, a groźne spojrzenia w jednéj chwili we wściekłość przejść mogą.

W miarę jak wyżej się wspinali, droga stawała się bardziej chropowatą i przykrą. Dobry humor Vendala zwiększał się mimo to na myśl, że tyle już za sobą pozostawili drogi, Obenreizer mówił mało i śmiało szedł naprzód. Obaj hojnie uposażeni byli w przymioty potrzebne do takiej wyprawy, to jest w zręczność i wytrwałość. Jeden z nich urodzony w górach wyczytał w oznakach pogody to, co dla drugiego było nieczytelném, lecz zatrzymał przy sobie.

— Czy przejdziemy za dnia na drugą gór stronę? — pytał Vendale.

— Nie — odrzekł Obenreizer. — Widzisz pan o ile głębiej jest tu śniegu aniżeli o pół mili niżej. Im wyżej wejdziemy, tém więcej będzie śniegu. Nie idziemy ale brniemy w śniegu. A dnie teraz tak krótkie! Jeżeli dojdziemy do pię-

tój stacyi i dostaniemy się na noc do klasztoru, uważać się będziemy za szczęśliwych.

— Czy nie ma obawy aby się w nocy nie zerwał wicher — zapytał Vendale trwożliwie — i nie zasypał śniegiem?

— Tyle jest w około nas niebezpieczeństw — rzekł Obenreizer, ostrożnie rzucając na wszystkie strony spojrzenia, — że najlepiej zrobimy trzymając się polityki milczenia. Słyszałeś pan o moście Ganther?

— Przechodziłem kiedyś przez niego.

— W lecie?

— Tak, w sezonie podróży.

— Ale nie w obecnej porze, bo to rzecz inna — rzekł Obenreizer ironicznie. — Wy święteczni podróżni panowie nie wiecie co to jest przeprawiać się w taką porę roku i w taki czas przez Alpy.

— Pan jesteś moim przewodnikiem — rzekł Vendale wesoło — i ufam ci najzupełniej.

— Jestem pańskim przewodnikiem — rzekł Obenreizer — i doprowadzę pana do kresu podróży. Otóż i most przed nami.

Zeszli w samotny i straszny rozdół; nad niemi, pod niemi i obok nich leżały ogromne massy śniegowe. Mówiąc tak, zatrzymał się Obenreizer i wskazując most, patrzył się badawczo na Vendala z szczególnym jakimś w twarzy wyrazem.

— Gdybym jako pański przewodnik wysłał cię naprzód i kazał krzyknąć parę razy, niezliczone tonny śniegu spadłyby na ciebie i nie tylko zabiły ale pogrzebały głęboko.

— Nie wątpię o tém, — rzekł Vendale.

— Naturalnie, ale to nie moje zadanie, jako przewodnika. Idź pan więc i zachowaj najgłębsze milczenie. Inaczej i ja byłbym zasypany śniegiem. Idźmy dalej.

Na moście mnóstwo było nagromadzonego śniegu; wystające po nad drogą odłamy skał oblepione były śniegiem, tak że tworzyły jakby niebo burzliwe, białemi zasłane chmurami. Obenreizer wprawdzie władał okutym kijem próbując nim głębokość śniegu, a patrząc w górę, pochylony jakby oprzeć się pragnąc możliwemu upadkowi śniegów, powoli i ostrożnie posuwał się naprzód. Tuż za nim postępował Vendale. Zaledwie byli w połowie niebezpiecznej drogi, kiedy uczuli

silne wstrząśnienie połączone z łoskotem podobnym do huk piorunu. Obenreizer położył rękę na ustach Vendala i wskazał mu ścieżkę, którą szli przed chwilą. Trudno ją było rozpoznać. Śniegowa góra przeleciała przez nią zasypując płynący na dnie przepaści strumień.

Ukazanie się ich w odludnej gospodzie, nieopodal tego straszego mostu, wywołało ze strony ich mieszkańców wykrzyki zadziwienia.

— Zatrzymujemy się tylko dla odpoczynku — rzekł Obenreizer ztrząsając śnieg z ubrania. — Ten gentleman pragnie koniecznie przedostać się na tamtą stronę gór; powiedz im to Vendalu.

— Niezawodnie, mam konieczną tego potrzebę. Muszę przejść przez góry.

— Słyszycie więc wy wszyscy. Przyjaciół mój musi się koniecznie przeprawić, i nie potrzebujemy od was ni rady, ni pomocy. Jestem tak dobrym przewodnikiem, jak każdy z was, kochani moi ziomkowie. A teraz dajcie nam co zjeść i napić się.

W taki sam sposób i podobnemi wyrazami przemówił Obenreizer do otaczających ich mieszkańców Domu schronienia, kiedy po długiej i najeżonej trudnościami drodze o zmroku już, przybyli tam i suszyli przy ogniu mokrą swą odzież.

— Zrozumiemy się dobrze, przyjaciele. Ten pan potrzebuje koniecznie przez góry się przeprawić — podchwycił Vendale, uśmiechając się. — Musi się przeprawić!

— Słyszycie? potrzebuje koniecznie przeprawić się przez góry, musi się przeprawić. Nie potrzebujemy rady ni pomocy. Urodziłem się w górach i służę teraz za przewodnika. Nie męczcie nas mówiąc o tém, ale dajcie jeść, pić i dobre kółka.

Przez całą mroźną noc, ta sama okropna cisza. O wschodzie słońca, tak jak dnia poprzedniego ani jeden promyk słońca nie ozłocił i nie zrumienił śniegu. Te same niezmierzone przestrzenie pokryte białym całunem; ta sama cisza w powietrzu i jednostajnie posępne niebo.

— Podróżni — ozwał się do nich głos przyjacielski z progu, kiedy już stali na dworze z torbami na ramionach i kijami w ręku: — pamiętajcie! Na czekającą was nie-

bezpiecznej drodze, pięć jest blisko siebie położonych miejsc dla schronienia się przed niebezpieczeństwem, jest tam i krzyż drewniany i dom schronienia. Nie zbijcie się z drogi. Jeśli zerwie się burza (*tonomente*), chrońcie się natychmiast!

— Oto rzemiosło tych biedaków, straszyć podróżnych by im się opłacali — rzekł Obenreizer do przyjaciela, ze wzgardą machnąwszy ręką w kierunku głosu. — Jakże ukochali swój przemysł. Wy Anglicy uważacie Szwajcarów za naród sprzedajny: rzeczywiście, wyglądają trochę na to.

Pokładli w swoje torby posiłki jakie mogli rano dostać, i jakie uznali wziąć za stosowne. Obenreizer dźwigał wino; Vendale chleb, mięso, ser, i flaszkę wódki.

Od pewnego już czasu brnęli w górę i ciągle naprzód po zaspach śniegu, mając go na ścieszcze którą postępowali po kolana, podczas gdy obok nięj leżały niezmierzone głębie; gdy wtém śnieg padać zaczął. Z początku padał spokojnie i w rzadkich płatkach, po chwili płatki stawały się gęstsze i bez żadnej widocznej przyczyny wirować w powietrzu zaczęły. Wtém zadał mroźny wichur, zahuczał po przepaściach i rozkiełznane żywioły straszną rozpoczęły walkę.

Jedna z tych strasznych galeryi przez które przeprowadzane bywają drogi w tych niebezpiecznych miejscach, pieczara przedłużona silnemi arkadami, znajdowała się niedaleko naszych podróżnych. Z wysiłkiem dostali się do nięj i burza zahuczała wściekle. Szum wichru, szum wody, spadające z hukiem piorunu odłamy skał i tumany śniegu, straszne odgłosy napełniające nie tylko te, ale i wszystkie gór pieczary, ciemność jak wśród nocy, szalone tumany śniegu oślepiające ich szronem, rozwścieczone wkoło nich żywioły nie syte spustoszenia, raptowne przejście z burzy do nienaturalnej ciszy i przemiana przerażających jęj odgłosów w głuche milczenie: wszystko zdolne było zmrozić krew w żyłach stojącego nad brzegiem przepaści człowieka, czego nawet dziki wichur miotający kawałami lodu i śniegiem uczynić nie był w stanie.

Obenreizer przechadzając się bezustanku po galeryi, zrobił znak Vendalowi aby mu pomógł zdjąć z siebie torbę.

Widzieli dobrze jeden drugiego, usłyszeć się jednak nie mogli. Obenreizer wyjął z torby flaszkę wina i podał ją Vendalowi, dając mu do zrozumienia aby się dla rozgrzania napił wina, a nie wódki. Gdy to Vendale uczynił, Obenreizer przytknął flaszkę do ust i zdawał się pić z niej, a potem chodząc z sobą zaczęli tam i napowrót po galerii, wiedząc dobrze że spocząć lub zasnąć było to samo co zginąć.

Śnieg tumanami wpadał do galerii przez wyższy jej koniec, ten właśnie przez który wyjśćby mogli, jeżeli kiedy wyjść ztamtąd mieli; większe bowiem niebezpieczeństwa były na drodze którą przebyli, aniżeli na drodze którą przebyć mieli. Śnieg zawałać już zaczął arkady. Godzinę jeszcze, a leżałby tak wysoko, iż żaden promień światła nie przedarłby się do wnętrza. Ale mróz ścisnął tęgi i można było się przez śnieg przebić, lub wygramolić się na wierzch. Gwałtowność górskiej zamieci ustąpiła powoli, i wkrótce spokojny śnieg padać zaczął. Wicher od czasu do czasu ale nie bezustannie ze śniegiem szedł w zapasy; a gdy ucichał, śnieg spadał grubemi płatkami!

Już od dwóch godzin może siedzieli w straszném tém więzieniu, kiedy Obenreizer pełzając po wierzchu śniegu, schylony grzbietem, dotykając sklepienia wychodzić zaczął z pieczary. Vendale postępował tuż za nim, ale bez jasnej o tém wiedzy co robi: letarg ów który go nawiedził w Bazylei powoli opanowywać zaczął jego zmysły.

Jak długo szedł tak galerią, z jakimi walczył trudnościami, tego nie wiedział. Poczł tylko jak Obenreizer rzucił się na niego i że rozpaczliwie walczyli z sobą w śniegu. Przypomniął sobie w tedy o czémś co Obenreizer nosił za pasem. Namacał je ręką, dobył, uderzył w niego, znów się pasował, uderzył go powtórnie, a odepchnąwszy go wreszcie, stanął z nim oko w oko.

— Przrzekłem doprowadzić cię do kresu twojej podróży — rzekł Obenreizer — i dotrzymałem obietnicy. Tu się kończy pielgrzymka twoja na tym świecie; nic ją przedłużyć nie jest w stanie: zasypiasz już stojąc.

— Jesteś nikczemnik! Coś mi zrobił?

— Jesteś głupcem. Otrułem cię. Jesteś dwa razy głupim, bo raz już otłułem cię, w czasie podróży, na próbę tylko. Jesteś po trzykroć głupi, ja to bowiem jestem owym

złodziejem i oszustem, i za chwil kilka wezmę te dowody przeciwko złodziejowi i oszustowi walczące, z martwego już twojego ciała.

Schwycony tak w sidła człowiek próbował ocucić się z letargu, ale fatalna jego moc tak go skrępowała, że nawet usłyszawszy te słowa, nie mógł się opamiętać czyja to krew broczyła białosć śniegu.

— Cóżem ci zrobił—zapytał, ciężko i chrapliwie dysząc—abyś mię tak... nikczemnie... mordował?

— Coś mi zrobił? Zgubiłbyś mnie, gdybyś mógł dostać się do celu podróży. Przekłeta twoja gorliwość przeszkodziła mi oddać pieniądze, które po pewnym przeciągu czasu zwrócić zamierzałem. Coś mi zrobił? Wchodziłeś mi w drogę, nie raz, nie dwa, ale ciągle, bezustanku. Czyż miałem się starać aby cię zaraz w początku wzruszyć? Byłbyś niewzruszonym pozostał, i dla tego umierasz tu teraz.

Vendale usiłował zebrać myśli, wypowiedzieć je w jakimś porządku; próbował podnieść żelazem okuty kosztur który na śniegu upuścił, a niemogąc go dostać, chwiejąc się iść usiłował. Wszystkie usiłowania były daremne! Potknął się i padł nad samym brzegiem głębokiej rozpadliny.

Odurzony, senny, niezdolny się na nogach utrzymać, mając zasłone na oczach i zmysł słuchu obumarały, zrobił tak rozpaczliwy wysiłek, że podniósłszy się na rękach, zobaczył swego nieprzyjaciela i nysłyszał go mówiącego.

— Zwiesz mnie mordercą—rzekł Obenreizer z przerażającym uśmiechem. —Nazwa mało mnie obchodzi. Ależ wreszcie i ja życie moje postawiłem na stawkę o twoje, jestem bowiem otoczony niebezpieczeństwami i mogę nie wyjść z tego miejsca więcej. Zamieć znowu się zrywa, tuman śniegu wirują w powietrzu. Słuchaj! muszę mieć zaraz papiery twoje: każda chwila stanowi o mojem życiu.

— Stój!—zawołał strasznym głosem Vendale, zrywając się ostatnim wysiłkiem z gasnącą iskrą w oku, i chwytając w obie swoje dłonie zbrodniczą rękę sięgającą ku jego piersiom.—Zatrzymaj się, idź precz odemnie! Boże, zmiłuj się nad moją Margeritą! Na szczęście ję nigdy się nie dowie w jaki sposób... zginąłem. Odstąp odemnie, niech spojrzę na twoją twarz mordercy. Niechaj mi przypomina... o czémś... czego nie powiedziałem.

Widząc walczącego z taką siłą i rozpaczą przeciw ogarniającej go niemocy i obawiając się czy nie posiada w téj chwili siły jakich dwunastu ludzi, przeciwnik Vendala z daleka przypatrywał się jego męczarniom. Dziko patrząc się na niego wyjąkał Vendale urywane słowa:

— Wierz słowom.... umierającego... który cię nie oszukuje... szanownych rodziców... nieprawnie odziedziczony majątek... rozważ to!

A kiedy pochylił głowę na piersi i powtórnie utknął nad brzegiem przepaści, złoczyńca skwapliwie wyciągnął rękę po ukryte na piersiach ofiary papiery. Vendale konwulsyjnym nateżeniem głosu krzyknąć zdołał „nie!” i rozpaczliwym ruchem strącił się w przepaść znikając przed ręką i wzrokiem wroga, jak widziadło w senném marzeniu.

I znowu zawyła szalona górską burza, i znowu się uspokoiła. Straszne gór odgłosy zamarły w przestrzeni, wszedł księżyc, a śnieg tylko zwolna i spokojnie padał dalej.

Dwóch ludzi z dwoma ogromnymi psami wyszło z bramy Domu Schronienia. Ludzie pilnie obejrzelisi wkoło i popatrzeli w niebo; psy tarzać się zaczęły po śniegu to biorąc go w pysk, to znów wyrzucając go w górę łapami.

Jeden z ludzi rzekł do drugiego: Próbuje iść teraz,— możemy ich jeszcze znaleźć w jednym z pięciu miejsc ochronnych.

Każdy z nich zarzucił kosz na plecy, wziął w rękę spiczasto zakończoną tykę i przepasał się mocną liną z pętlcami przy końcach, tak że oba razem byli do siebie przywiązani.

Nagle psy zaprzestały swoich skoków po śniegu, spojrzały w dół ścieżki, wietrzyły pyskami w powietrzu, to znów po ziemi, okazywały wielką niespokojność i głośno szczeakać zaczęły.

Ludzie spojrzeli w oczy psom; psy inteligentnym wzrokiem spojrzały na nich także.

— A więc *an secours!* Na pomoc! ratujemy zbłąkanych! —wykrzyknęli obaj ludzie. Psy z głośnym, radosnym szczeniem rzuciły się naprzód.

— Otóż dwóch nowych szaleńców—rzekli ludzie, stojąc jak wryci z podziwienia i patrząc w przestrzeń oświeco-

na księżcem. Jestże to podobne w taki czas! a w dodatku jeden z nich jest kobietą.

Psy pochwyliły każdy za jeden koniec ubrania kobiety i prowadziły ją w ten sposób za sobą. Idąc tak ścieżką w górę i to krokiem zwyczajnym, jakkolwiek mnóstwo na niej było śniegu, głaskała ręką ogromne łby zmyślnych zwierząt; nie z taką łatwością postępował za nią otyły mężczyzna, strudzony i zadyszany.

— Kochani przewodnicy, kochani przyjaciele podróżnych, z waszego jestem kraju. Szukamy dwóch panów przeprawiających się przez Alpy, a którzy dziś wieczór musieli przybyć do Domu Schronienia.

— Przybyli tu w samą rzecz, panienko!

— O! dzięki Ci Boże, dzięki!

— Lecz na nieszczęście poszli znów dalej; idziemy właśnie ich szukać. Musieliśmy czekać dopóki zamieć nie przejdzie, a strasznie się ona tam w górze srożyła.

— Kochani przewodnicy, kochani przyjaciele podróżnych! Pozwólcie mi pójść z sobą, na miłość boską zaklinam was! Jeden z tych panów ma być mężem moim. Kocham, o jak bardzo go kocham, jak bardzo! Widzicie że słabą nie jestem, widzicie że znużoną nie jestem; urodziłam się bowiem córką prostego wieśniaka. Pokażę wam jak umiem się przywiązać do waszój liny; własnymi to uczynię rękami. Przysięgam że będę odważną, ale pozwólcie mi tylko iść z sobą. Jeśliby mu się nieszczęście zdarzyło, miłość moja wynajdzie go tam, gdzie go nikt inny wynaleźćby nie mógł. Na kolanach was błagam! zaklinam was na miłość jaką matki wasze miały dla waszych ojców!

Pocziwi ci i prości ludzie byli wzruszeni. Bądź co bądź, szepnął jeden drugiemu, mówi zupełną prawdę. Zna drogę przez góry, bo patrz jak szczęśliwie tu się dostała! Ale co będzie z tym oto panem, panienko?

— Kochany panie Józefie—rzekła Margerita w ojczystym jego języku—zaczekasz na mnie w tym domu i odpoczniesz tymczasem trochę; wszak dobrze?

— Gdybym tylko wiedział, który z was dwóch poradził to!—mruknął Józef Ladle spoglądając na przewodników z nietajoném oburzeniem;—zapłaciłbym dobrze za wasze rady!

Nie, kochana panienko, wlec się będę za tobą dopóki tylko mi sił starczy, i umrę dla ciebie jeśli tego będzie potrzeba.

Przewodnicy szybko powzięli postanowienie i czynić zaczęli przygotowania, psy bowiem okazywały wielką niecierpliwość i korzystać trzeba było z potrzebnego im bardzo księżycowego światła. Linę wiążącą ich do siebie zmienili na dłuższą, Margeritę wzięli między siebie, a piwniczego na końcu przywiązali, i w takim porządku wyruszyli w góry do miejsc ochronnych (refuges). Odległość rzeczywista tych miejsc nic nie stanowiła; wszystkie pięć bowiem i najbliższy dom schronienia leżały na przestrzeni dwóch mil; ale na okropnej drodze nie było znać najnniejszego śladu pod grubymi śniegu pokładami.

Bez żadnego wypadku natrafili na galeryą, do której się podróżni nasi schronili. Powtórna burza z wichrem nagromadziła w niej taką masę śniegu, że żadnego tam po nich nie było już śladu. Ale psy biegały wietrząc tu i ówdzie, wesoło kręciły ogonami. Kiedy się jednak zatrzymało przy ostatniej arkadzie, przy której najbardziej srożyła się burza i gdzie głębokie ślady niezupełnie zasypane były, psy okazywać zaczęły niespokojność i biegając w około szukały śladów zaginionych.

Obawiając się wpaść w wielką rozpadlinę o której wiedzieli że po prawej znajduje się stronie, zanadto na lewo się wzięli tak, że z niesłychanym trudem zwrócili się do drogi brnąc po ogromnych zaspach śniegowych. Prowadzący partycę przewodnik zatrzymał ich i sam szukać zaczął granicznych kopców, gdy wtém jeden z psów grzebać zaczął w śniegu łapami. Zbliżywszy się do tego miejsca w przekonaniu że mógł tam być zagrzebany w śniegu człowiek, zobaczyli że śnieg w tém miejscu był splamiony, a plama była czerwonego koloru.

Ujrżeli w téj saméj chwili drugiego psa jak pochyłony nad brzegiem przepaści, opierał się na wyciągniętych przednich łapach, drżąc całym ciałem. Wtedy przyłączył się do niego pies który plamę na śniegu zwietrzył, i obydwaj zaczęli biegać w różne strony, niepokojąc się i skomlać. Nareszcie zatrzymały się nad brzegiem otchłani, i podniosły łby w górę, żałośnie zawyły.

— Ktoś tam leżeć musi na dole — rzekła Margerita.

— I ja tak myślę—rzekł idący przodem przewodnik.

— Wy dwaj inni trzymajcie nas z daleka na linie, a my tymczasem w dół spójrzmy.

Jeden z nich zapalił wydobyte z kosza dwie pochodnie i podał je. Pierwszy przewodnik wziął jedną, drugą Margerita i zajrzeli w głąb przepaści, to przysłaniając ręką światło pochodni, to kierując ją na lewo, to na prawo, starali się przebić okiem panujące w dole ciemności. Przeróżny krzyk Margerity przerwał długie milczenie.

— O Boże! na wystającą nad potokiem lodową ścianie, widzę postać ludzką!

— Gdzie ma'amselle, gdzie?

— Tam oto, patrz! na skorupie z lodu tuż pod psami!

Przewodnik ze zwątpieniem cofnął się i przez czas jakiś wszyscy milczeli. Niedługo tak jednak pozostawali bezczynnie, bo Margerita szybko i zręcznie odwiązała opasujący ją i przewodnika sznur.

— Pokaż mi kosze. Czy tylko dwa sznury macie?

— Nie mamy ich więcej przy sobie, ma'amselle; ale w Domu Schronienia...

— Jeżeli jeszcze żyje, wiem że to mój kochanek, umrze zanim powrócicie! Kochani przewodnicy! przyjaciele podróżnych! Spójrzcie na mnie, na moje ręce; jeśli drżą lub słabemi się okażą, zatrzymajcie mnie siłą; lecz jeśli będą silne i zręczne pomóżcie mi go wyratować!

Przepasała się sznurem, porobiła na nim węzły, związała go silnie z końcem drugiego sznura, i podała w ręce dwom przewodnikom próbując jego mocy.

— Ona natchniona—szepnęli ci ostatni do siebie.

— Łaską Najwyższego!—zawołała—wiecie że jestem z was najłżejszą; dajcie mi wódkę i wino, spuście mnie na dół a sami idźcie po więcej sznurów i po ratunek. Widzicie że spuszczone lina dostanie do samego spodu, zawiążę mu ją pod pachy i tak wyciągniecie go w górę. Żywym lub umarłym wyprowadzę gozamtąd lub zginę z nim razem. Kocham go nad życie, mogę powiedzieć więcej?

Zwrócili się do jęj towarzysza, ten jednak leżał bez czucia na ziemi.

— Spuście mnie na dół do niego—rzekła przewieszając przez siebie dwie małe beczułki—albo skoczę, rozbiję się

o skały! Jestem wieśniaczką i nie znam co to zawrót głowy lub obawa; niczem to jest dla mnie, a ja go tak kocham, o! kocham tak mocno!

— Ma'amselle, ma'amselle, on pewnie już nie żyje, lub umiera.

— Umierający czy umarły, głowę mojego małżonka opnę na méj piersi, lub zginę.

Ulegli zwyciężeni jej prośbami. Ze wszelkimi środkami ostrożności opuścili ją na dół po linie; sama kierowała się rękami ku przepaścistemu odłamowi lodu. Coraz więcej zwalniali sznura, aż wreszcie doszedł ich głos: — dosyć.

— Czy to on na prawdę, i czy żyje?—zapytali się pochyleni nad otchłanią.

Głos wzbił się do nich:—Zdrętwiały, lecz serce jego bije, bije oparte na mojem.

— Gdzież leży?

— Na pokładzie lodu, który topnieje pod nim i podemną zapewne topnieć wkrótce zacznie. Jeżeli zginiemy cieżyć się będę.

Jeden z przewodników pobiegł z psami jak mógł najprędzej po sznury, drugi zajął się cuceniem Anglika. Silne i długie nacierania śniegiem i trochę wódki postawiło go na nogi, nie wróciło jednak przytomności umysłu.

Przywróciwszy Anglika do życia wrócił znów nad brzeg przepaści wołając bezustanku:—Odwagi! wkrótce przybędą z pomocą! Jak tam z wami?

Odpowiadano mu z głębi przepaści:—Serce jego bije jeszcze przy mojem; ogrzewam go w moich ramionach. Odwiązałam sznur, lód bowiem topnieje pod nami i sznur oddzieliłby mię od niego; ale się nie boję.

Księżyc zaszedł za gór szczyty, pogrążając przepaść w ciemnościach. Przewodnik zapytał znów z góry!—Co się z wami dzieje?—Z dołu doszedł go głos Margerity:—Zapadamy się coraz niżej, lecz serce jego wciąż bije przy mojem.

Nareszcie gwałtowne szczekanie psów i blask światła odbijający się od śniegu, oznajmił przybycie posiłków. Dwudziestu lub trzydziestu ludzi przybiegło pospiesznie niosąc latarnie, pochodnie, lektyki, sznury, kołdry wełniane, drzewo dla rozpalenia ognia, jedzenie i środki rozgrzewające.

Psy biegały od jednego człowieka do drugiego, od jednego przedmiotu do drugiego, a potem na brzeg przepaści jakby nagłąc do pośpiechu.

Zawołano z nad brzegów przepaści:—Dzięki Bogu, wszystko gotowe. Jak tam z wami?

Z głębi wyszedł głos:—Zapadamy coraz niżej; zimno śmiertelne przejmując nasze członki. Serce jego już nie bije przy mojem; niechaj nikt się do nas nie spuszcza i nie dodaje przez to ciężaru: linę tylko spuścić.

Rozpalono ogromny ogień, pochodnie i latarnie oblały potokami światła wnętrze przepaści, spuszczone silny sznur na dół. Widziano jak go opasywała i zawiązywała na węzły. Wśród śmiertelnej ciszy doszedł ich głos z dołu:—Ciągnijcie! powoli!—Widziano jak zadrżała, kiedy zawisł w powietrzu.

Nie wydano najmniejszego krzyku podczas gdy niektórzy kładli go w lektykę, a drudzy spuszczały inną mocną linę. Wśród śmiertelnego milczenia usłyszano krzyk znowu:—Ciągnijcie! powoli!—Dopiero gdy wyciągnęli ją już na brzeg, rozległy się radośne krzyki, płacze, dziękczynienia: jedni całowali jej stopy, inni kraj sukni; psy łasiły się liżąc zmarznięte jej ręce i ogrzewając zmarzłe jej ciało pocziwem swemi pyskami.

Wyrwała się z pośród tych objawów wdzięczności i uwielbienia, upadła przy nim w lektykę przykładając kochane swoje ręce do serca które jeszcze nie biło.

AKT IV.

Szczególny zamek.

Rzecz dzieje się w Neuchâtel, w miesiącu kwietniu, w mieszkaniu i kancelaryi zarazem notaryusza, rumianego, serdecznego i miłej powierzchowności staruszką, głównego notaryusza Neuchâtelu, znanego w około w całym kantonie pod nazwiskiem Maitre Voigte. Z professyi swój i osobistości był notaryusz popularnym nader obywatelem. Niezli-

czone jego przymioty charakteru i dziwactwa, przed laty już uczyniły zeń osobistość typową właściwą miłym szwajcarskim miastom. Jego długi brązowego koloru rajtrok i czarna czapka, stanowiły jakby część miejscowych instytucyj; nosił zaś przy sobie tabakierkę, o której powszechna panowała opinia, że co do objętości niema sobie równej w całej Europie.

Oprócz notaryusza znajduje się w kancelaryi jego inna nie tak miła postać: jest to Obenreizer.

Kancelarya ta była w patryarchalno-pasterskim urządzona sposobie, jakiby w Anglii nie znalazł całkiem powodzenia. Znajdowała się ona w czystym, daleko od ulicy położonym podwórku, od pięknego ogródka kwiatowego żerdziowym odgradzona płotkiem. Kozy skubały trawnik, a dependentowi notaryusza dotrzymywała towarzystwa krowa, o kilka zaledwie od niego oddalona kroków. W małym wylakierowanym jak cacko pokoju Maitre Voigt'a, ściany wybite były rzeźbionym z drzewa futrowaniem. Stosownie do pory roku, przez okno zaglądały do pokoju róże, słoneczniki i ostrokrzewy. Pszczółki Maitre Voigt'a przez cały dzień brzęczały po pokoju, wlatując jednym oknem a wylatując drugim, jak gdyby miód zbierać chciały ze słodkiego charakteru swego pana.

Na kominku stała duża pozytywka, grająca do uprzykrzenia uwerturę z Fra Diavola lub wyjątki z Wilhelma Tella, a ożywiony jój świegot wstrzymywany jedynie siłą przy wejściu jakiego klienta, po wyjściu jego natychmiast z niepowstrzymanym wybuchał zapalem.

— Odwagi, odwagi, kochany mój panie! — rzekł Maitre Voigt, klepiąc Obenreizera po kolanach w ojcowski i pocieszający sposób. — Jutro rano nowe rozpocznesz życie w mojej kancelaryi.

Obenreizer, żałobnie ubrany i pokorny w obejściu, poniosł do serca rękę w białą przybraną rękawiczkę. — Wdzięczność panuje tu — rzekł. — Słow jednak na wypowiedzenie jój brakuje.

— Ta, ta, ta! Nie mów mi nic o wdzięczności — rzekł Maitre Voigt. Niecierpię widzieć ludzi pogneębionych. Widzę pana pogneębionym i dla tego instynktownie podaję mu życliwą rękę. Oprócz tego, nie jestem tak stary aby sobie młodo-

ści nieprzypominać. Ojciec pański przysłał mi pierwszego mego klienta (chodziło tam o pole do uprawienia winogrodu, na którym rzadko kiedy rodziły się winogrona). Czyż nie dłużny nie jestem synowi twego ojca? Przysnąję zaciągnięty dług względem niego i teraz właśnie go spłacam. Zdaje mi się że jasno i dobrze się wyraziłem—dodał Maitre Voigt nader z siebie zadowolony.—Pozwól wynagrodzić sobie moje zasługi niuchem tabaki.

Obenreizer spuścił w ziemię oczy, jak gdyby nie czuł się godnym widzieć notaryusza zażywającego tabakę.

— Wyświadczyć mi panie, ostatnią jeszcze łaskę—rzekł oczy podnosząc.—Nie działaj z pierwszego popędu szlachetnej twój duszy, masz bowiem dotychczas ogólne tylko o mojem położeniu wiadomości; wysłuchaj szczegółów zdarzenia za i przeciwko mnie mówiących, zanim mnie do swojej przyjmiesz kancelaryi. Niech moje prawa do pańskiej dla mnie uczynności rozpoznane zostaną przez doświadczony jego rozum, nietylko zaś przez doskonałe serce. W *tych* jedynie razie śmiało podnieść będę mógł głowę w obec najzacieklejszych moich nieprzyjaciół, i na gruzach straconej reputacyi, nową chwalebna sobie zbudować.

— Jak chcesz mój synu—rzekł Maitre Voigt. Mówisz dobrze, i znakomity z ciebie będzie kiedyś prawnik.

— Szczegółów nie ma wiele—ciągnął Obenreizer. Troski moje zaczynają się z chwilą przypadkowej śmierci towarzysza ostatniej mej podróży i ukochanego przyjaciela Vendala.

— Vendale — powtórzył Maitre Voigt—czytałem to nazwisko i słyszałem o niem nieraz w ostatnich dwóch miesiącach. Jest to nazwisko nieszczęśliwego Anglika, który zginął w przeprawie przez Simplon, wtedy otrzymałeś tę ranę na policzku i szyi.

— Zraniłem się własnym moim nożem — rzekł Obenreizer, dotykając się blizny, która musiała być kiedyś okropną raną.

— Własnym nożem—potwierdził notaryusz—i to starając się go ocalić. Dobrze, dobrze, było to bardzo szlachetnie. Vendale, tak niejednokrotnie w ostatnich czasach myślałem sobie jak to dziwnie, że miałem niegdyś podobnego nazwiska klienta.

— Świat jednak tak jest mały — zawołał Obenreizer. Niemniej jednak zanotował sobie w pamięci, że notaryusz miał kiedyś podobnego klienta.

— Jak to już powiedziałem, szanowny panie, od śmierci mojego przyjaciela zaczynają się moje zmartwienia. Cóż ztąd wynika? Oto ratuję się sam jeden; jadę do Medyolanu, gdzie Defresnier i Sp. chłodno mię bardzo przyjmują. Wkrótce potem Defresnier i Sp. uwalniają mię od obowiązków. Dlaczego? Nie dają żadnej na to przyczyny. Pytam się, czy zarzucają co memu honorowi? Żadnej odpowiedzi. Pytam, jakie przeciwko mnie mają zarzuty? Żadnej odpowiedzi. Pytam, jakie mają przeciwko mnie dowody? Żadnej odpowiedzi. Pytam się co mam o tém myśleć? Odpowiadają mi: „Pan Obenreizer może sobie myśleć co mu się podoba. To co p. Obenreizer myśli, żadnego nie ma znaczenia dla Defresnier i Spółki!” I to wszystko.

— Wybornie. To wszystko, — potwierdził notaryusz zażywając spory niuch tabaki.

— Ale czy taka odpowiedź wystarcza?

— Taka odpowiedź nie wystarcza, — rzekł Maître Voigt. — Defresnier i Spółka są moimi współobywatelami, bardzo poważanemi, szanowanemi; ale Defresnier i Spółka nie powinni milczeniem niszczyć czyjaś dobrą opinię. Możesz zbierać dowody i twierdzenia, ale jak zaprzeczyć milczenie?

— Twoje poczucie sprawiedliwości, szanowny panie, — odrzekł Obenreizer, — wyraziło w tém jedném słowie całą okropność położenia. Czyż na tém skończyć się powinno? Nie. Bo i cóż z tego dalej wynika?

— Że pupilka buntuje się przeciwko swemu opiekunowi w skutek tego — rzekł notaryusz z współczuciem głową kiwając.

— Buntuje się, jest za mało powiedziane, — odparł Obenreizer. — Pupilka moja nienawidzi mnie z całej duszy, wyzywa mnie do walki z nią, uchyla się z pod mojej władzy, i znajduje przytułek (a z nią i pani Dor) w domu tego angielskiego adwokata, pana Bintrey, który na wezwania jakie jej pan czyni aby władzy mój uległa, odpowiada że tego nie uczyni.

— I który pisze następnie, — rzekł notaryusz podnosząc leżącą na papierach ogromną tabakierę, aby listu pod nią poszukać, — że przyjedzie aby się zemną rozmówić.

— Czy tak w istocie?—odrzekł Obenreizer zmieszany. Wszak mam przynależne mi prawa?

— Niewątpliwie, biedny mój chłopcze, — odparł notaryusz. — Wszyscy oprócz złoczyńców mają swoje prawa.

— A któż mnie złoczyńcą nazywa? — dziko zapytał Obenreizer.

— Nikt zgola. Znoś spokojnie krzywdy. Gdyby cię w samą rzecz Defresnier i spółka nazwali złoczyńcą, wtedy mieliby z nami do czynienia.

Mówiąc to podał list krótki Bintreya a do Obenreizera pisany; ten zaś przeczytał go i zaraz oddał.

— Mówiąc, że przybędzie dla naradzenia się z panem, — zauważył Obenreizer zapanowawszy znów nad sobą, — angielski ten adwokat powiedzieć chciał przez to, że przybywa aby mi zaprzeczyć praw do méj pupilki.

— Tak pan sądzisz?

— Jestem tego pewnym, znam go bowiem dobrze. Jest on uparty i lubi spory. Powiedz mi szanowny panie, czy dopóki pupilka moja do pełnoletności nie dojdzie, władza moja jest niewzruszoną?

— Bezwarunkowo niewzruszoną.

— Władzę tę moją wzmocnię jeszcze. Zniewolę ją do zupełnego poddania się jéj. Wyznaję to panu, — rzekł Obenreizer nadając gniewnemu swemu głosowi wyraz poddania się, — panu któryś tak wspaniałomyślnie zaopiekował się skrzywdzonym i dał mu zajęcie w swéj kancelaryi.

— Uspokój się. — rzekł Maitre Voigt. — Ani słowa o tém więcéj, i żadnych podziękowań! Bądź tu jutro z rana zanim zejdą się dependenci, między godziną siódmą a ósmą z rana. Znajdziesz mnie w tym pokoju i sam cię z zatrudnieniami twemi obznajmię. Idź już, idź! mam jeszcze kilka listów napisać: nie chcę słyszeć ani słowa więcéj.

Odprowadzony tak niespodziewanie i zadowolony z wrażeń korzystnego jakie na starcu uczynił, Obenreizer czasu miał dosyć do zastanowienia się nad zrobioną przez siebie uwagą, że Maitre Voigt miał niegdyś klienta z nazwiskiem Vendale.

— Znam dobrze teraźniejszą Anglią, — tak myślał, siedząc na kamiennéj w podwórzu ławeczce, — i nigdy nie spotkałem w niéj takiego, — obejrzał się mimowolnie za sie-

bie — jak *to* nazwiska. Czyż świat tak jest małym, że i po śmierci jego nawet uwolnić się od niego nie mogę? Wyznał w chwili śmierci, że zawiódł zaufanie w nim przez przyjaciela położone, i nieprawnie odziedziczył majątek. A ja przyglądałem się temu, i twarz moja przypominała mu to. Dlaczego twarz *moja*, jeżeli nie dlatego, że to się *mnie* tyczyło? Że słowa te powiedział tego pewny jestem, od owój bowiem chwili słyszę je bezustanku. Czy w aktach tego starego idioty nie ma czegoś, co by do tych słów odnieść można było? Co by powetowało moje dotychczasowe niepowodzenie, a pamięć jego oczerniło? Owój nocy w Bazylei mówił o najwcześniejszych moich wspomnieniach: dlaczego by to czynił, gdyby nie miał do tego przyczyny?

Dwa największe koszty Maître Voigta zaatakowały go rogami chcąc go z ławki wyprzeć, prawdopodobnie za nieprzyzwoite o ich panu odezwanie się. Musiał wstać przeto, i oddalić się. Przez długi czas jednak chodził po nad brzegami jeziora z pochyloną na piersi głową i w ciężkich pograżony myślach.

Nazajutrz, pomiędzy siódmą a ósmą rano, zjawił się znowu w kancelaryi notaryusza. Zastał notaryusza pracującego nad papierami, które wczoraj wieczór otrzymał. W kilku jasnych słowach, poznał Obenreizera z kancelaryjną rutyną i z obowiązkami go czekającymi. Brakowało pięciu minut do ósmej, kiedy te przedwstępne objaśnienia uznane zostały przez Maître Voigta za dostateczne.

— Oprowadzę pana jeszcze po kancelaryi i domu całym, — rzekł Maître Voigt, — muszę jednak pochować wprzód te papiery. Nadesłały mi je władze municypalne i muszę je na szczególną mieć uwagę.

Obenreizer ujrzał w tém sposobność odnalezienia archiwum z prywatnemi notaryusza papierami.

— Nie mógłżebym wyręczyć w tém pana? — zapytał. — Uporządkowałbym je pod pańskim kierownictwem.

Maître Voigt uśmiechnął się do siebie, zamknął tekę, w której mu papiery przesłano i podał ją Obenreizerowi.

— Przypuśćmy że to potrafisz — rzekł. — Wszystkie moje ważniejsze papiery tam trzymam.

Wskazał ręką na ciężkie drzwi dębowe, gęsto gwoździami nabijane, w drugim końcu pokoju się znajdujące. Przy-

bliżywszy się do nich z teką w rękę, spostrzegł Obenreizer, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że nie było żadnego sposobu do otwarcia ich z zewnątrz. Nie było w tych drzwiach ani klamki, ani zasuw, ani klucza, ani też (idąc stopniowo w tym biernym oporze) dziurki od klucza.

— Muszą być inne drzwi do tego pokoju? — zapytał Obenreizer zwracając się do notaryusza.

— Nie — rzekł Maitre Voigt. — Zgadnij dalej.

— Jest więc w nim okno?

— I to nie. Okno zamurować kazałem, tak, że jedyny sposób dostania się do pokoju, jest przez te drzwi tylko. A więc zrzekasz się swego zamiaru? — wykrzyknął Maitre Voigt w tryumfie. Posłuchajno kochanku, i powiedz mi czy nie tam wewnątrz nie słyszysz?

Obenreizer posłuchał przez chwilę, a potem ode drzwi odskoczył.

— Wiem! — zawołał. — Słyszałem o tém będąc jeszcze uczniem zegarmistrzowskim tu w Neuchâtel. Bracia Perrin skończyli wreszcie swój sławny zamek zegarowy i pan go nabyłeś?

— Brawo! — rzekł Maitre Voigt. — Jest to właśnie ów zamek zegarowy! Tak, mój synu! Oto masz jedno więcej co tu w mieście nazywają „szaleństwami papy Voigta.” I owszem z całego serca na to pozwalam; niech się śmieje, komu to dobrze robi. Żaden złodziej nie ukradnie *mojego* klucza; żaden rabuś nie otworzy *mojego* zamku. Żadna na ziemi siła, żaden taran ani beczka prochu nie poruszy tych drzwi, dopóki mały mój sztyldwach wewnątrz umieszczony, mój szanowny przyjaciel: „tik, tik,” jak go nazywam, nie powie: „Otwórz się!” Grube drzwi posłuszne są małemu „tik, tik” — a mały tik, tik słucha *moich* znów rozkazów. — Oto — wykrzyknął papa Voigt, klaskając w powietrzu palcami, — orzech do zgryzienia dla wszystkich w chrześcijańskim świecie złodziei.

— Czy mogę zobaczyć układ tego zamku? — zapytał Obenreizer. — Wybacz mój ciekawości szanowny panie; wiesz zapewne że kiedyś nie złym byłem zegarmistrzem.

— Niewątpliwie, że ci to pokażę, — rzekł Maitre Voigt, — któraż teraz godzina? Minuta do ósmej. Uważaj, a za minutę zobaczysz jak się drzwi otworzą.

Za uderzeniem ósmej godziny, lekko, cicho i powoli otworzyły się drzwi na wewnątrz, jakby pod działaniem niewidzialnej ręki, ukazując mały i ciemny pokój. Trzy ściany jego od góry do dołu pokryte były półkami. Na nich szereg na szeregu ułożone stały ładne pudełka rzeźbione z drzewa, wyrób czysto szwajcarski, a na przedniej stronie każdego z nich, wypisane były (różnokolorowymi literami) nazwiska klientów notaryusza.

Maitre Voigt zapalił stoczek i poszedł pierwszy do archiwum.

— Zobaczysz zegar—rzekł z dumą;—posiadam najciekawszą rzecz w całej Europie i ty, uprzywilejowane oczy oglądać ten cud mogą. Udzielam ten przywilej synowi twego pocziwego ojca, będziesz jednym z wielu wybranych, którzy wchodzić ze mną do tego pokoju. Patrz! tu jest zegar po prawej ręce na ścianie niedaleko drzwi.

— Zwyczajny zegar—zawołał Obenreizer.— Ach nie! nie jest to zegar zwyczajny, ma bowiem jedną tylko wskazówkę.

— Aha!—rzekł Maitre Voigt.— Nie jest to zegar zwyczajny, mój przyjacielu. Nie, nie ta jedna wskazówka idzie w około po cyferblacie. Nakręcam zegar na tę godzinę, o której chcę aby się drzwi otworzyły. Patrz! wskazówka stoi na ósmej, i o ósmej drzwi się otworzyły, jak to sam widziałeś.

— Czy otworzyć można drzwi więcej jak raz w ciągu dwudziestu czterech godzin?—zapytał Obenreizer.

— Więcej jak raz?—powtórzył notaryusz z oburzeniem—kochany przyjacielu nie znasz mojego tik, tik! Otworzy drzwi ile razy tylko zechcę. Potrzebuje jedynie, aby go nastawić, a potem sam idzie. Spójrz na dół cyferblatu; tu oto znajduje się stalowe półkole w ścianę wpuszczone, a tu znów jest wskazówka zwana regulatorem, która posuwa się naokoło, według *mej* woli. Zauważ proszę cię, że na tém półkolu są cyfry, za pomocą których się oryentuję. Znak I, znaczy: otwiera raz na dwadzieścia godzin. II, znaczy: otwiera dwa razy; i tak dalej. Nastawiam regulator co rano, po przeczytaniu moich listów kiedy wiem jaka mnie w ciągu dnia czeka robota. Czy chcesz żebym go przy tobie nakręcił? Cóż to mamy dzisiaj? Śróde. Dobrze więc! Jest

to uroczystość klubu strzeleckiego, coś nakształt małego święta, mało więc będzie do roboty. Schowajmy przedtem tekę z papierami miejskimi. Ot tak! A teraz niema żadnej potrzeby otwierania tych drzwi aż do jutra rana o godzinie osmój. Posuwam więc wskazówkę na godzinę ośmą, cofam regulator na I; zamykam drzwi i drzwi pozostają zamknięte aż do jutra rana.

Bystry umysł Obenreizera wskazał mu natychmiast sposób w jaki zamek zegarowy zdradzić mógł zaufanie swego pana, powierzając mu tajemnice w papierach notaryusza zawarte.

— Zatrzymaj się pan! — zawołał w chwili gdy notaryusz zabierał się drzwi zamknąć. Czy nie rusza się tam coś pomiędzy pudełkami na dole?

Maitre Voigt odwrócił się od niego na chwilę, a z tego skorzystał Obenreizer i przesunął regulator z liczby I na liczbę II. Jeżeli notaryusz nie spojrzy wychodząc na stałowe półkole, drzwi otworzą się dziś jeszcze o ósmej wieczorem, tak jak i jutro o ósmej rano, i nikt oprócz Obenreizera wiedzieć o tém nie będzie.

— Nie ma tam nic! — rzekł Maitre Voigt. Twoje zmartwienia rozdrażniły nerwy, mój synu. Jakiś cień może rzucony przez stoczek, lub mały jaki chrząszczyk, żyjący wśród tajemnic starego prawnika a uciekający przed światłem. Lecz słuchaj! oto już przyszli twoi koledzy dependenci. Do pracy więc! do pracy! i uczyni dziś pierwszy krok prowadzący do szczęścia i majątku!

W wesołym usposobieniu popchnął Obenreizera przed sobą, zgasił stoczek i spojrzawszy raz jeszcze pełnym miłości wzrokiem na swój zegar, zamknął dębowe drzwi za sobą.

O trzeciej po południu zamknięto kancelaryą. Notaryusz a z nim wszyscy pracujący w jego biurze z wyjątkiem jednego, poszli przypatrywać się strzelaniu do celu. Obenreizer wymówił się brakiem usposobienia do publicznych uroczystości. Nikt nie wiedział co się z nim stało, przypuszczano tylko że się wymknął na samowolną jaką przechadzkę.

W kilka minut po zamknięciu domu i kancelaryi, otworzyły się drzwi dużej szafy z ubraniem w pokoju notaryusza stojącej i wyszedł z niej Obenreizer. Poszedł do okna, otworzył okiennice, a przekonawszy się że w każdej chwili

uciec może do ogrodu, zadowolony z tego usiadł w notaryusza fotelu. Zamknięty w domu czekać miał jeszcze przez pięć godzin zanim ósma wybije.

Te pięć godzin spędził na czytaniu książek i gazet leżących na stole, na rozmyślaniu, lub przechadzaniu się po pokoju. Słońce zaszło. Zamknął okiennice żeby móżdż światło zapalić. Zapaliwszy świecę, gdy już niedaleko była ósma, usiadł z oczyma wlepionymi w dębowe drzwi.

O ósmój otworzyły się drzwi lekko, cicho i powoli.

Czytał po kolei nazwiska na pudełkach wypisane, ale nigdzie nazwiska Vendale nie znalazł. Wyjął pierwszy szereg pudełek i przeglądając zaczął z tyłu za temi stojące pudełka, widocznie z dawniejszej pochodzące daty i gorszego pozorów. Na pierwszych czterech wyczytał francuskie jakieś i niemieckie nazwiska; na piątym napis był prawie zupełnie nieczytelny, poniósł je przeto do światła i tam pod grubą warstwą pyłu i pleśni wyczytał nazwisko „Vendale“.

Klucz przywiązany był sznurkiem do pudełka. Otworzył pudełko, wyjął zeń cztery oddzielne papiery, położył na stole i zaczął czytać. Zaledwie zaczął czytać, kiedy na twarz jego zamiast uczucia ciekawości i chciwości, wystąpił wyraz zadziwienia i zniechęcenia. Po pewnym jednak namyśle przepisał treść tych papirów. Wtedy włożył papiery do pudełka, pudełko postawił na półce, zamknął drzwi, zgasił świecę i wymknął się niepostrzeżony.

Słychać jeszcze było odgłos kroków zbójcy i złodzieja, po za ogrodem przed głównymi drzwiami do domu prowadzącymi, zatrzymał się notaryusz a z nim jakiś nieznajomy.

Latarnie były już zapalone w uliczce, i notaryusz trzymał klucz w ręku.

— Nie przechodź pan koło mego domku, niewstąpiwszy doń panie Bintrey—rzekł. Proszę zrobić mi ten zaszczyt; jest to jakby napół święto w naszym mieście, nasze strzelanie do tarczy, ale ludzie nasi zaraz powrócą. Wypijemy co i przekąsimy, zanim do siebie powrócisz.

— Dziękuję panu; zrobię to kiedyindziej. Czy mam przyjść do pana jutro rano o dziesiątej?

— Szczęśliwy będę że tak wcześnie będę miał sposobność wynagrodzić krzywdy biędnemu mojemu klientowi wyrządzone—odrzekł poceiwy notaryusz.

— Skrzywdzony pański klient ma się zupełnie dobrze, lecz... jedno słowo na ucho.

Szepnął coś do ucha notaryuszowi i odszedł. Kiedy gospodyni notaryusza wróciła do domu, zastała go jeszcze stojącego podędrzwiami nieporuszenie, z kluczem w ręku od drzwi zamkniętych.

Zwycięztwo Obenreizera.

Przenieśmy się znowu do stóp Simplonu po szwajcarskiej stronie.

W jednym z posępnych pokoi posępnej oberży małego miasteczka Brieg, pan Bintrey i Maître Voigt siedzieli razem zajęci prawną naradą. Pan Bintrey szukał czegoś w swoich notatkach. Maître Voigt spoglądał ku zamkniętym drzwiom pomalowanym na ciemny kolor przypominający mahoń, a prowadzącym do dalszego pokoju.

— Czy to już nie czas w którym przyjść miał, zapytał się notaryusz zmieniając pozycję i patrząc ku innym drzwiom w drugim końcu pokoju na żółty kolor sośniny pomalowanym:

— On jest tu—odrzekł Bintrey, posłuchawszy przez chwilę.

Służący otworzył żółte drzwi i wszedł do pokoju Obenreizer.

Pozdrowiwszy Maître Voigta z poufałością, która wiodocznie mocno tego ostatniego ambarasowała, skłonił się Bintreyowi poważnie i zdaleka. — W jakim celu sprowadzony zostałem do stóp tych gór z Neuchâtelu?—zapytał siadając na wskazaném mu przez Bintreya miejscu.

— Co do tego zaspokojoną wkrótce zostanie pańska ciekawość—odparł Bintrey. Teraz zaś pozwól mi pan przystąpić wprost do rzeczy. Pisałeś pan listy do swojej siostrzenicy, panie Obenreizer; jestem tu w zastępstwie siostrzenicy jego.

— Inaczej mówiąc, pan prawnik, jesteś tu przedstawicielem naruszenia prawa.

— Wybornie powiedziane! — rzekł Bintrey. Gdyby wszyscy z którymi mam do czynienia byli panu podobni, jakże

wygodném byłoby moje powołanie! Jestem tu przedstawicielem naruszenia prawa, tak pan utrzymujesz; jestem tu sędzią polubownym między panem a jego siostrzenicą, tak ja znów utrzymuję.

— W kompromisie dwie powinny być strony—podchwycił Obenreizer. Nie chcę być jedną ze stron w tym wypadku. Prawo daje mi zupełną władzę kontrollowania czynności méj siostrzenicy, dopóki nie dojdzie do pełnoletności. Niejest jeszcze pełnoletnią, i odwołuję się do méj władzy.

W tém miejscu Maître Voigt usiłował przemówić. Bintrey nakazał mu milczenie gestem współczucie i pobłażanie wyrażającym, jak gdyby uspakajał ulubione swe dziecko.

— Nie, zacny mój przyjacielu, ani słowa. Nie irytuj się niepotrzebnie; mnie to pozostaw. Zwrócił się znowu do Obenreizera. Nie mogę pana do niczego przyrównać, nawet do granitu, bo i ten wpływowi czasu ulega. W interesie twego spokoju, godności osobistój, radzę mu być powolniejszym nieco na nasze przedstawienia. Jeżeli zechcesz przełać swą władzę na osobę którą znam, zaufać jej możesz, że dniem i nocą czuwać będzie nad twoją siostrzenicą.

— Naprawdę pan sobie i mnie czas zabierasz—odparł Obenreizer. Jeżeli siostrzenica moja nie będzie mi powróconą od dziś za tydzień, wezwę pomocy prawa. Jeżeli nie usłuchasz go mój panie, zabiorę siostrzenicę przemocą.

Mówiąc te słowa powstał z krzesła. Maître Voigt spojrzał się znowu ku ciemnym drzwiom drugiego pokoju.

— Miěj litość nad biedną dziewczicą—prosił Bintrey. Pamiętaj że tak niedawno straciła swego kochanka w tak straszny sposób. Czyż nie cię nie wzruszy?

— Nic zgoła.

Z kolei Bintrey powstał z siedzenia, i spojrzał na Maître Voigta. Ręka Maître Voigta, oparta na stole, gwałtownie drżąc poczęła. Wzrok jego jak zaczarowany oderwać się od ciemnych drzwi nie mógł. Obenreizer, podejrzliwie go obserwując, w tę samą spojrzał się stronę.

— Ktoś nas tam podsłuchuje!—zawołał, bystre i surowe rzucając na Bintreya spojrzenie.

— Dwie osoby się przysłuchują—odpowiedział Bintrey.

— Któż to taki?

— Zobaczysz pan sam.

Przy tych słowach podniesionym głosem wymówił te dwa zwyczajne wyrazy, będące w każddej dnia porze u każdego na ustach: „proszę wejść”.

Ciemno pomalowane drzwi otworzyły się. Wsparty na ramieniu Margerity, blady, bez śladu ogorzałej cery, z prawą ręką obandażowaną i na temblaku zwieszoną, stanął Vendale przed swoim zabójcą, jak człowiek z martwychpowstały.

Wśród milczenia jakie pokój zaległo, jeden tylko śpiew zamkniętego w klatce ptaka dolatywał z zewnątrz, przerywając ciszę grobową. Maitre Voigt trącił ręką Bintreya, wskazując na Obenreizera: „Spójrz na niego” szepnął.

Wstrząśnienie doznane sparaliżowało jego ruchy i tylko krew mu w żyłach krążyła! Twarz pokryła się trupią bladeścią. Jedna tylko rana na szyi i policzku, którą mu ofiarą w walce o swe życie zadała, wąską czerniła się smugą. Stał tak bez mowy, oddechu, ruchu, wzroku pozbawiony, jak gdyby na widok Vendala rażony został śmiercią, którą Ventalowi przeznaczył.

— Niechaj kto do niego przemówi—rzekł Maitre Voigt. Czy ja mam go pytać?

I teraz nakłonił Bintrey notaryusza do milczenia, pozostawiając sobie i nadal kierunek sprawy. Powstrzymawszy gestem Maitre Voigta, odesłał Margeritę i Ventalą do ich pokoju mówiąc:—Obecnością swoją najlepszą daliście temu panu odpowiedź. Oddalcie się teraz, bo pan Obenreizer potrzebuje przyjść do siebie.

I rzeczywiście, skoro oboje młodzi wyszli z pokoju i drzwi się za nimi zamknęły, odetchnął z głębi piersi, jak gdyby się pozbył wielkiego ciężaru. Obejrzał się wkoło za swoim krzesłem i padł na nie bezsilny.

— Daj mu chwilkę czasu — wstawiał się za nim Maitre Voigt.

— Nie — odrzekł Bintrey — nie wiem jakiby z niego zrobił użytek. A zwróciwszy się do Obenreizera, tak dalej mówił: —Pragnę sam dla siebie, ale nie myśl pan że dla niego, usprawiedliwić mój udział w całej tej sprawie i wykazać co zrobione zostało za moją poradą i na własną moją odpowiedzialność. Czy możesz pan mię słuchać?

— Mogę już słuchać.

— Proszę sobie przypomnieć czas ów, w którym z panem Vendalem wyjeżdżaliście do Szwajcaryi—zaczął Bintrey. Nie upłynęło i dwudziestu czterech godzin po pana wyjeździe, kiedy siostrzenica jego uczyniła krok nieroztropny, którego pańska nawet przezorność przewidzieć nie była w stanie. Pojechała za swoim narzeczonym niepytając się nikogo o radę i w towarzystwie jedynie piwniczego pana Vendala.

— Dlaczego pojechała za nami, i jak się stało że piwniczny został właśnie jej towarzyszem?

— Pojechała za wami—odrzekł Bintrey—bo przewidywała, że zaszła między panem a panem Vendale ważna jakaś kollizya, która przed nią w tajemnicy trzymana była; i że słusznie podejrywała pana, że zdolnym byleś usłużyć swoim interesom, lub zadość uczynić uczuciu nieprzyjaźni chociażby kosztem zbrodni. Co do piwniczego, był on jednym z ludzi pracujących w zakładzie, których się (zaraz po waszym wyjeździe) pytała, czy zaszło co między ich zwierzchnikiem a jej wujem. Jeden tylko piwniczny miał jej coś do powiedzenia. Bezrozumny zabobon i zwykły wypadek, który się jego pryncypałowi w piwnicach przytrafił, złączył osobę pana Vendale z wyobrażeniem niebezpieczeństwa z ręki mordercy mu grożącego. Usłyszawszy to z ust tego człowieka, siostrzenica pańska dziesięćkroć więcej się jeszcze przeraziła. Ten znów, przychodząc do poczucia złego jakie jej baśniami swemi wyrządził, jeden tylko widział sposób odpokutowania go:—Jeżeli—rzekł—pan mój jest w niebezpieczeństwie, obowiązkiem moim jest za nim pojechać; a większym jeszcze nad panią czuwać! Pojechali więc oboje, i po raz pierwszy zdał się na coś zabobon. Zdecydował on siostrzenicę pana do wyjazdu, a tém samém przyczynił się do ocalenia człowiekowi życia. Rozumiesz pan to co dotąd powiedziałem?

— Jak dotychczas, zrozumiałem.

— Pierwsza wiadomość, która mnie doszła o zbrodni przez pana spełnionej, była w formie listu od jego siostrzenicy. Wszystko co wiedzieć potrzebujesz jest to, że miłość i odwaga jej odkryły ciało twój ofiary i pomogły znakomicie do przywrócenia mu następnie życia. Podczas gdy bez na-

dziei leżał w Brieg pielęgnowany przez nią, napisała do mnie abym przyjechał. Przed wyjazdem zawiadomiłem panią Dor, że panna Obenreizer jest wolną od niebezpieczeństwa i że wiem gdzie się obecnie znajduje. Pani Dor nawzajem powiedziała mi, że pod adresem panny Obenreizer przyszedł list, na którym pana poznała pismo. Zabrałem go i zabezpieczyłem posiadanie wszystkich innych listów, któreby od pana przyjść mogły. Przybywszy do Brieg, zastałem pana Vendala wolnym od niebezpieczeństwa i starać się całemi siłami zacząłem o przyspieszenie dnia porachunku z panem. Na mocy dostarczonych przezemnie wiadomości, Drefnier i Spółka uwolnili pana od pełnionych obowiązków. Obdarłszy go z fałszywego charakteru jakiś pan nosił, pozostawało mi jeszcze pozbawić go władzy nad siostrzenicą. Ażeby cel ten osiągnąć, nie tylko nie czułem skrupułu zastawiając w ciemnościach pułapkę, ale jako prawnik uczułem pewne zadowolenie zwalczając pana własnym jego orężem. Za moją radą, skrywano przed panem prawdę, aż do dnia dzisiejszego. Za moją radą siadła w tém zastawiono miejscu (a dlaczego, to wiesz teraz tak dobrze jak i ja). Jeden był tylko sposób pozbawić cię tego panowania nad sobą, które z ciebie tak groźnego robiło człowieka. Spróbowano tego sposobu i udał się jak najzupełniej. Ostatnia rzecz, która pozostaje do zrobienia, — ciągnął dalej Bintrey, wyjmując z pugilaresu dwa małe zapisane kawalki papieru, — jest usamowolnić pańską siostrzenicę. Usiłowałeś morderstwo i dokonałeś fałszerstwa i kradzieży. Na wszystkie te czyny gotowe mamy przeciwko tobie dowody. Gdybyś pan został sądownie za złoczyńcę uznany, wiesz tak dobrze, jak ja coby się naówczas stało z całą twą władzą. Co do mnie, przekładałbym tę drogę nad inne. Ale ważne względy przemawiają przeciwko memu zdaniu, i to nasze widzenie się zakończone być musi, jak to już powiedziałem, kompromisem. Podpisz ten papier na znak, że zrzekasz się wszelkiej nad panną Obenreizer władzy i deklarujesz się nigdy nogą nie postać w Anglii lub Szwajcaryi; a ja podpiszę przebaczenie dla pana, które zabezpieczy cię od dalszych z naszej strony kroków.

Obenreizer wziął pióro i milcząc podpisał zrzeczenie. Wziąwszy w zamian zapewnienie nie dochodzenia na nim jego przestępstw, wstał, nie zabierając się wszakże do wyjścia.

Stał patrząc się na Maitre Voigta z dziwnym na ustach uśmiechem, i z dziwnym błyskiem ognia w mglistém spojrzeniu.

— Na cóż jeszcze czekasz?—zapytał Bintrey.

Obenreizer wskazał na drzwi brunatne. — Zawołaj ich pan,—odpowiedział,—mam jeszcze coś do powiedzenia w ich obecności zanim odejdę.

— Odmówić to panu muszę; powiedz to przedemną.

Obenreizer zwrócił się do Maitre Voigta. — Przypominaś pan sobie, że niegdyś miałeś klienta Anglika nazwiskiem Vendale?—zapytał.

— Tak jest— odrzekł zapytany. — Do czegoż jednak prowadzi to pytanie?

— Maitre Voigt, twój zamek zegarowy zdradził cię.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Przeczytałem listy i dokumenta w przegródce pod nazwiskiem Vendale zachowane. Zrobiłem z nich kopie i przyniosłem je z sobą. Czyż jest przyczyna aby ich przywołać?

Przez chwilę przenosił notaryusz zdziwione spojrzenia z Bintreya na Obenreizera w niemém osłupieniu. Przyszedszy nareszcie do siebie, pociągnął swego kolegę na stronę i szepnął mu kilka słów do ucha. Twarz Bintreya, która z początku wiernym była odbiciem zadziwienia notaryusza, nagle zmieniła swój wyraz. Z młodzieńczą żywością pobiegł do sąsiedniego pokoju, zabawił w nim chwil parę i powrócił z Margeritą i Vendalem. — Teraz, panie Obenreizer,—rzekł Bintrey,—ostatnie poruszenie w tej grze do pana należy. Czekamy.

— Zanim zrzeknę się stanowiska opiekuna młodej tej pani,—rzekł Obenreizer,—wyjawić muszę tajemnicę, która ją bardzo obchodzi. Wyjawiając ją, nie pragnę zwrócić uwagi i starać się wmówić, że nie jest zmyśloną. Jestem bowiem w posiadaniu dokumentów, kopii i oryginałów, których autentyczność sam Maitre Voigt poświadczyć może. Pozwólcie cofnąć mi się do dawno ubiegłej daty, miesiąca lutego w tysiąc ósmset trzydziestym szóstym roku.

— Uważaj na datę, panie Vendale,—rzekł Bintrey.

— Pierwszym moim dowodem,—rzekł Obenreizer, do-
bawając jakiś papier z pugilaresu,—jest kopia listu pisanego

przez pewną Angielkę zamężną, do swjej siostry, wdowy. Nazwisko osoby, która list napisała przez pewien jeszcze czas zataić będę musiał; ale nazwisko osoby do której był pisany, z chęcią wymienię. List adresowany był do: pani Joanny Anny Miller z Groom-bridge-wells w Anglii.

Vendale zadrzał i otworzył usta chcąc coś powiedzieć; ale Bintrey powstrzymał go zaraz, tak jak powstrzymał Maître Voigta. — Nie, — rzekł uparty adwokat, — mnie to pozostaw.

Obenreizer mówił dalej:

— Nie potrzebuję trudzić was czytaniem pierwszej połowy listu, mogę ją tylko podać w streszczeniu. Położenie piszącej list było wówczas takie: przez długi czas zamieszkiwała Szwajcaryą, zmuszona do tego słabowitem zdrowiem męża. Mają się przenieść na nowe mieszkanie nad jezioro Neuchâtelskie, i za dwa tygodnie gotowi będą przyjąć u siebie panią Miller. Powiedziawszy to, autorka listu przechodzi do opisanja ważnego domowego szczegółu. Byli bezdzietni; ona i mąż jej nie spodziewali się już więcej mieć dzieci; byli samotni, potrzebowali mieć cel jakiś w życiu: postanowili przeto przysposobić dziecię. Tu zaczyna się ważna część listu, którą wam dosłownie przeczytam.

Rozwinął list i na drugiej jego stronnicy czytać zaczął co następuje:

„*** Czy zechcesz pomódz nam kochana siostro do urzeczywistnienia naszego zamiaru? Jako Anglicy adoptować chcemy dziecię naszej narodowości. Najłatwiej to zrobić u podrzutków: adwokat mego męża w Londynie wskaże ci do tego sposób. Pozostawiam ci wybór stawiając jedynie warunek: aby dziecię nie miało więcej jak rok i było płci męskiej. Wszakże wybaczysz mi kłopot jaki ci tém poleceniem sprawiam i przywieziesz mi dziecię razem ze swemi dziećmi kiedy do Neuchâtelu się wybierzesz.

„Dodać muszę jeszcze słówko co do życzenia mego męża w tym względzie. Zaoszczędzić chce dziecięciu zmartwienia i poniżenia we własnych oczach, skoroby się o właściwem pochodzeniu dowiedział. Nosić będzie nazwisko mego męża i wychowamy go w tém przekonaniu, że jest rzeczywiście naszym synem. Dziedzictwo majątku, którym rozporzą-

dzić będziemy mogli, zapewnione mu zostanie nie tylko angielskimi ale i szwajcarskimi prawami; mieszkamy bowiem od tak dawna w Szwajcaryi, że powstaje wątpliwość, czy nie będziemy jako „przesiedleńcy” uważani. Zabezpieczyć się tylko pozostaje od zrobienia odkrycia adoptujących podrzutka. Tymczasem nazwisko nasze nie jest zwyczajnem i jeżeli nas zapiszą na listę adoptujących przez Zakład utrzymywaną, może coś łatwo z tego wyniknąć. Twoje nazwisko, kochana siostró, jest nazwiskiem tysiąca innych osób; i jeżeli zgodzisz się figurować na liście, nie będzie żadnej obawy późniejszego odkrycia z tej strony. Wyjeżdżamy, z polecenia lekarza, do okolicy, w której okoliczności naszego życia nikomu nie są znane; ty zaś wyjeżdżając w podróż nową zapewne przyjmiesz mamkę. W takim położeniu, dziecię uchodzić może za moje własne przywieszone mi pod opieką siostry. Biorę z sobą jedną tylko dawną służącą, której zaufać mogę. Co do adwokatów w Anglii i Szwajcaryi, dochowywać tajemnicy jest ich powołaniem, i z tej strony niczego obawiać się nie należy. Oto niewinny nasz mały spisek! Odpisz powrotną pocztą, czy chcesz należeć doń, kochana siostró.”

— Czy ukrywać chcesz jeszcze nazwisko piszącej ten list? — zapytał Vendale.

— Powiem je przy końcu dopięro, — odrzekł Obenreizer, — a teraz przechodzę do przedstawienia drugiego dowodu; mały jak na teraz świstek papieru, jak to widzicie. Jest to memorandum dane szwajcarskiemu prawnikowi odnośnie powyższych dokumentów, które brzmi tak: „Adoptowano z Zakładu Podrzutków w Anglii dnia 3-go marca 1836 roku dziecię płci męskiej zwane tam Walterem Wilding. Osoba figurująca na liście adoptujących, pani Joanna Anna Miller wdowa, działająca w imieniu zamężnej swjej siostry zamieszkałej w Szwajcaryi.” — Cierpliwości, — zawołał Obenreizer, kiedy Vendale, wyrывая się Bintreyowi, zerwał się na równe nogi. — Nie będę dalej skrywał nazwiska; jeszcze dwa tylko świstki papieru i rzecz będzie skończona. Trzeci dowód! Świadcstwo lekarza Ganz, praktykującego dotąd w Neuchâtel, datowane w lipcu 1838 roku. Lekarz zaświadcza (przeczytacie to sobie potem dokładnie): po pierwsze, że leczył dziecię na choroby dzieciom właściwe; po dru-

gie, że na trzy miesiące przed wydaniem niniejszego świadectwa umarł dzentelman, który dziecię za syna swego adoptował; po trzecie, że w dacie świadectwa wdowa zabrała dziecię i wraz ze służącą wyjechała do Anglii. Jedno jeszcze ogniwo a łańcuch moich dowodów będzie uzupełnionym. Służąca zostawała przy swój pani aż do śmierci tej ostatniej, która przed kilku nastąpiła laty. Służąca zaprzysiędź może tożsamość adoptowanego dziecka w wieku dzicinnym, młodzieńczym a nareszcie człowieka zupełnie dojrzałego jakim jest teraz. Tu jest jej adres w Anglii, i to stanowi czwarty dowód, panie Vendale, i ostatni!

— Dlaczego się pan do *mnie* szczególnie zwracasz?— rzekł Vendale, kiedy Obenreizer rzucał na stół na kartce napisany adres.

Obenreizer odwrócił się do niego w uniesieniu zwycięstwa.

— *Bo ty jesteś owym człowiekiem!* Jeżeli moja siostrzenica zaślubi cię, to zaślubi tylko bękartą wychowanego miłosierdziem publicznym. Jeżeli cię moja siostrzenica zaślubi, zaślubi samozwańca, bez nazwiska i rodziny, przybranego w nienależną mu godność szlachcica dobrego rodu.

— Brawo!—zawołał Bintrey.—Wybornie powiedziane, panie Obenreizer! Jednego tylko brakuje słowa do uzupełnienia tego. Zaślubia, dzięki pańskim zabiegom, człowieka, który odziedzicza piękną wcale fortunę i człowieka, który ze względu na swe pochodzenie dumniejszym jeszcze będzie ze swój żony, wieśniaczki. Jerzy Vendale, jako współegzekutorowie testamentu, powinszujemy sobie! Ostatnie na ziemi życzenie drogiego nam zmarłego przyjaciela, spełnionem zostało. Znaleźliśmy zaginionego Waltera Wildinga. Jak to właśnie teraz pan Obenreizer powiedział, jesteś człowiekiem, któregośmy szukali!

Słowa te przebrzmiały niepostrzeżone przez Vendalą. W tej chwili o jedném tylko wiedział, jeden tylko głos słyszał. Rękę Margerity w swój ścisnął rękę. Głos Margerity szeptał mu do ucha: „Nigdy cię tak nie kochała, o mój Jerzy, jak cię kocham teraz.”

Zasłona spada.

Był to dzień majowy. Wesołość panuje w Cripple Corner, z kominów się dymi, patryarchalny pokój jadalny obwieszony dokoła girlandami kwiatów, a pani Goldstraw, szanowna gospodyni, zajęta jest bardzo. W pięknym tym dniu bowiem młody pan Cripple Corner żeni się z młodą jej panią w dalekiej stronie, a mianowicie w małym miasteczku Brieg w Szwajcaryi, u stóp góry Simplon położoném.

Wesoło brzmią dzwony małego miasteczka Brieg, po ulicach wywieszone wiewają chorągwie, słychać karabinowe strzały i muzykę głośną na dętych instrumentach. Zdobne chorągiewkami beczki z winem stoją w wesołym ogródku przed gospodą, gdzie suta przygotowuje się uczta. Od dzwonów, chorągwi, strzałów i rezlegającej się muzyki, małe miasteczko Brieg całe w rozruchu, jak i pocziwe serca prostych jej mieszkańców.

Noc była burzliwą i góry śniegiem się pokryły. Ale jasno dziś świeci słońce, łagodne powietrze tchnie świeżością, cyną pokryte wieżyczki małego miasteczka Brieg wyglądają jak posrebrzane, a Alpy wyglądają z daleka jak szereg białych obłoków na ciemno błękitnym niebie.

Mieszkańcy małego miasteczka Brieg wybudowali z zielonych gałęzi i drzew tryumfalną bramę na głównej ulicy, pod którą nowozasłubiona para w powrocie z kościoła przejść miała. Na nią położono napis: — „Cześć i miłość dla Margerity Vendale”. — bo lud dumny z niej jest do entuzjazmu. To powitanie panny młodej nowém jej nazwiskiem ma być niespodzianką dla niej, i dla tego poprowadzić ją miano do kościoła małą krętą uliczką. Zadanie to łatwe do spełnienia w małej o krętych uliczkach mieścinie.

Wszystko już gotowe, iść i wracać mają piechotą. Zgromadzeni w najlepszym pokoju hotelowym uroczyście przystrojonym, znajdują się: państwo młodzi, notaryusz z Neuchâtelu, londyński adwokat i pewien otyły tajemniczy Anglik, zwany pospolicie: Monsieur Zhoë Ladelle. Patrzcie, oto i pani Dor, ustrojona we własne nieposzlakowaną czystości rękawiczki; nie trzyma ręki podniesionej w górę, ale obie zarzuciła na szyję panny młodej: w uścisku tym obró-

ciła się szerokimi barkami do zgromadzenia chętnie się na to zgadzającego.

— Przebacz mi, moja prześliczna—prosi pani Dor—że byłam zawsze dla ciebie kotką!

— Kotką! pani Dor?

— Kotką, która musiała pilnować taką śliczną myszkę — objaśniła pani Dor wśród łkań pełnych skruchy.

— Ale przeciwnie. byłaś najlepszą naszą przyjaciołką. Nieprawdaż Jerzy mój drogi.

— Niewątpliwie, mój aniele; cóżbyśmy bez niej zrobili?

— Jesteście oboje tak szlachetni — woła pani Dor — przyjmując pocieszenie. — Zawsze jednak byłam z początku kotką.

— Tak ale jak owa kotka z bajki, dobra pani Dor — rzecze Vendale całując jej policzki — byłaś rzeczywiście kobietą; a będąc kobietą, sympatyzować musiałaś z prawdziwą miłością.

— Nie chciałbym poztawiać pani Dor przypadającego na nią udziału w pocałunkach — wmięszal się pan Bintrey z zegarkiem w rękę — i nie chcę wam zarzucać żeście się jak trzy gracye w kącie od nas odosobnili; robię tylko uwagę, że możeby czas już był wyruszyć do kościoła. Jakież są pańskie zapatrywania w tym względzie, panie Ladle?

— Zupełnie jasne, panie — odpowiada Joey przyjemnie się krzywiąc. — Od czasu jak żyję na powierzchni ziemi o wiele mam jaśniej w głowie. Nigdy i połowy tak długo nie byłem na powierzchni ziemi, i to mi ogromnie wiele dobrego zrobiło. W Cripple Corner zanadto byłem nisko, na szczycie Simplonu, o wiele byłem za wysoko; tutaj dopiero błogą pośredniość spotkałem. I jeżeli kiedy wciągać mam w siebie wino jako napój, to przedewszystkiem tutaj pijąc zdrowie: „Za pomyślność państwa młodych!”

— I ja także! — rzekł Bintrey. — A teraz Monsieur Voigt, bądźmy dwoma Marsylczykami i allons, marchons, ramię do ramienia!

Zeszli do bramy, przy której już na nich czekano, poszli spokojnie do kościoła gdzie rozpoczyna się obrzęd zaślubin dwojga szczęśliwych. W czasie tej ceremonii wywołano do drzwi notaryusza; a kiedy się ukończyła powró-

cił i stanawszy za Vendalem dotknął się lekko jego ramienia.

— Wyjdź do drzwi bocznych na chwilę, panie Vendale, ale sam: zostaw panią przy mnie.

U bocznych drzwi kościoła stoją znani nam już dwaj ludzie z Domu Schronienia. Są oni znużeni trudem i śniegiem pokryci. Witają Vendala, życzą mu szczęścia w małżeństwie a potem szerokie swe dłonie opierają na piersiach Vendala i jeden z nich cichym odzywa się głosem, kiedy tymczasem drugi uważnie na niego patrzy:

— Tutaj panie jest wasza lektyka. Ta sama.

— Moja lektyka? I dlaczego?

— Cicho! żeby pani nieusłyszała. Towarzysz pana z owego czasu....

— Cóż się z nim stało?

Przewodnik milczy spoglądając na swego towarzysza, a ten go wyręcza w opowiadaniu. Obydwa trzymają uroczyście swe ręce na piersiach Vendala.

— Od kilku dni przebywał w pierwszym Schronieniu. Czas był raz burzliwy, to znów pogodny.

— Czy tak?

— Pozawczoraj przybył do naszego Domu Schronienia i pokrzepiwszy swe siły snem, obwinięty w płaszcz na podłodze przed ogniskiem, postanowił dostać się, zanim noc zapadnie, do najbliższego Domu Schronienia. Obawiał się bardzo téj drogi i myślał że jutro gorszą jeszcze będzie.

— I cóż dalej?

— Poszedł sam. Minął już galeryą, kiedy ogromny tuman śniegowy, taki jak ten który spadł poza wami przy moście Ganther....

— Zabił go?

— Odkopaliśmy go zgniecionego i bez życia! Ale panie, jak zrobić z panią? Przynieśliśmy go tutaj, aby go pochować, ale iść będziemy boczną ulicą, bo pani widzieć tego niepowinna. Niepomyślną byłoby wróżbą gdybyśmy lektykę przenieśli pod tryumfalnym łukiem zanim panna młoda pod nim przejdzie. Kiedy państwo wyjdziecie z kościoła, my zatrzymamy się z lektyką w drugiej uliczce po prawej stronie głównej i staniemy tak aby ją zasłonić. Ale niechaj pani nie patrzy w tę uliczkę. Niema czasu do stracenia,

pani zaniepokojoną będzie pańską nieobecnością. Do widzenia!

Vendale powraca do swęj żony i podaje jęj zdrową rękę. U bram kościoła oczekuje na nich liczny i wesoły orszak; stają w pośród niego i przy dźwięku muzyki, odgłosie dzwonów, wystrzałów, krzyków, łez i śmiechów mieszkańców miasteczka, postępują główną ulicą. Kędy tylko przechodzi panna młoda, odkrywają się głowy, przesyłają jęj pozdrowienia, wszyscy błogosławia: „Błogosławieństwo niebios niech spoczywa na tobie kochana panienko! Patrzcie jaka piękna i młoda; to ona szlachetnem poświęceniem od śmierci narzeczonego wybawiła.”

Kiedy dochodzili do rogu drugięj uliczki po prawęj ręce, on nachyla się do nięj i szepcze do ucha zwracając uwagę na przeciwnę stronę ulicy. Minąwszy to miejsce, mówi do nięj: — Nie oglądaj się kochanko moja, mam do tęg prośby przyczynę — i sam głowę odwraca. Wtedy, niesiona przez przewodników lektyka przechodzi pod tryumfalnym łukiem samotna, a młoda nowożeńców para dąży dalej ku pięknej, błyszczącęj słońcem dolinie.

